

Życiorysy znakomitych ludzi

William Morris

przez

Leona Winiarskiego



WARSZAWA

BRONISŁAW NATANSON

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI J. FISZERA

Nowy Świat Nr. 9.

1900

WILLIAM MORRIS



Życiorysy znakomitych ludzi

William Morris

przez

Leona Winiarskiego



WARSZAWA

BRONISŁAW NATANSON

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI J. FISZERA

Nowy Świat Nr. 9.

1900

Дозволено Цезурою.
Варшава, 11 Июня 1899 года.



88389

K-183/78/94740

ROZDZIAŁ I.

Sztuka poniosła stratę bolesną w osobie Williama Morrisa. Swą wszechstronnością przypominał on genialnych tytanów Renaissance'u: był jednocześnie malarzem, poetą, architektem, fabrykantem mebli, rysownikiem, drukarzem i działaczem społecznym — a we wszystkich tych dziedzinach pozostawił trwały znak po sobie.

Jego postać duchową, tak różnorodną, komplikuje jeszcze pewna dwoistość wewnętrzna, sprawiająca wrażenie dziwne, prawie paradoksalne: głosił jednocześnie nowe zasady pracy biedakom i stare zasady smaku bogaczom; jako działacz społeczny spoglądał w przyszłość, jako artysta — w przeszłość.

Widziałem go dwukrotnie: raz w Londynie, w r. 1887, i następnie w Paryżu, w 1889 r. Był to człowiek średniego wzrostu, o potężnej, lwiej głowie, z wysokim massywnym czołem, na które spadały kosmy nieposłusznych, rozczochranych, siwiejących włosów. Brodę miał niestrzyżoną — patryarchy, a oczy niebieskie, pełne idealizmu, dobroci i wiary w siebie. By uwolnić się od niewygody krochmalonych kołnierzy i gorsów, nosił pod surdudem niebieską bluzę robotnika —

William Morris,

artysty, skórzanym pasem ściągniętą. Postać jego tchnęła spokojem, siłą, pewnością siebie, uczuciem człowieka, który całą swą energię poświęcił celowi szlachetnemu i jest przekonany o jego pożyteczności i tryumfie ostatecznym.

Tylko człowiek obeznany z dziełami młodości Morrisa i jego wieku dojrzałego mógłby rozpoznać w tym starcu olimpijskim niezatarte cienie dawnej melancholii i dawnego marzycielstwa. Widząc go na kongresie paryskim w r. 1889, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, iż jest nie na swoim miejscu: było w nim coś z człowieka, który powrócił z tamtego świata i chce żyć życiem ludzi żywych.

W Morrisie, jak i we wszystkich genialnych artystach, czuć zdrowy modernizm, naturę, która tylko chce wydawać się zrównoważoną i takąż jak inni, ale zawiera w sobie coś problematycznego i paradoksalnego. Znajdujemy się tu wobec tej niepojętej zagadki geniuszu, która sprawia wrażenie tajemniczych i nieujętych żadną regułą żywiołów.

Romantycy, przeniesieni do życia rzeczywistego, mają zawsze w sobie coś z upiórów, chociażby przesadzali nawet swych współczesnych w realizmie. Tem może należy objaśnić, iż Morris nigdy znacznego wpływu na większe masy ludowe nie posiadał. Nie miał on istotnego, głębokiego pokrewieństwa z temi massami. Wpływ jego wywierał się raczej w świecie artystycznym i literackim i teraz, gdy umarł, czar jego pamięci rośnie w tym świecie z dniem każdym.

William urodził się d. 24 Marca 1834 r. w Walthamstow, pod Londynem, i tam pozostawał do 14-go ro-

ku życia, uczęszczając do szkoły miejscowej. Był synem zamożnego kupca, który pozostawił dość znaczny majątek, ale i liczną rodzinę, złożoną z dziewięciorga dzieci. Gimnazyum William — najstarszy z nich — ukończył w Marlborough. Podobny pod tym względem do wielu innych poetów, wielkiego zamiłowania do książek nie okazywał, ale również nie był miłośnikiem zwykłych zabaw uczniowskich, ani też studenckich, gdy następnie w r. 1852 wstąpił na uniwersytet oxfordzki. Był od dzieciństwa marzycielem z odcieniem mistycyzmu. W Oxfordzie zaczął nawet studyować, wraz z przyjacielem swym, słynnym późniejszym malarzem, Burne-Jones'em, teologię. Wkrótce jednak przyjaciele porzucili zamiar wstąpienia na drogę eklezyastyczną, gdyż znaleźli religię inną, religię piękną, i tej dochowali wiary aż do końca życia. Pomimo to pozostało w nich, a zwłaszcza w Morrisie, na zawsze coś z księdza i apostoła.

Wrodzone poczucie mistycyzmu przeniósł on na piękno, które było dlań czemś idealnem i tajemniczem, wcielajacem się we wszystko, co istnieje, nawet w rzeczy najskromniejsze, najpowszedniejsze. I dlatego, gdy następnie zajął się stosowaniem sztuki do przemysłu, wytwarzaniem pięknych obić lub mebli, czynił to, bynajmniej nie w celach utilitarnych, lecz w czysto-artystycznych, powiedziałbym nawet, mistycznych. Rysu tego nie należy spuszczać z oka, śledząc dalszą działalność Morrisa.

Co się tyczy jego natury apostoła, to, długo tłumiona przez warunki życiowe, znalazła ona później, prawie na starość, ujście w jego społeczno-reformatorskich polotach. Powróćmy wszakże do czasów uniwersyteckich Morrisa. Porzuciwszy teologię, studyo-

wał wraz z Burne-Jonesem klasyków, średniowieczną literaturę misteryów i folklor. Nie były to studia systematyczne, ale raczej dorywcze i „spazmatyczne“, jak się wyraża jeden z krytyków angielskich, kierowane jedynie namiętnem zamięłowaniem piękna. Literackim tym zajęciom towarzyszyły artystyczne, w dziedzinie architektury i malarstwa. Zapał artystyczny dwu młodzieńców stał się daleko żywszym jeszcze, gdy zapoznali się z D. G. Rossettim, Holmanem Hunttem i kilku innymi artystami ze szkoły Prerafaelitów, którzy przybyli do Oxfordu dla wykonania lub odnowienia fresków w jednej z hal uniwersyteckich (Union Debating Hall).

Wpływ ten był tak żywy, iż Morris, idąc za przykładem Burne-Jones'a, wziął się także do pędzla. Pozostało nawet z tego czasu kilka niedokończonych jego obrazów, które świadczą o bardzo żywym poczuciu koloru. Tymczasem Morris ukończył swe studia uniwersyteckie w r. 1856 z tytułem „bachelor of arts“, a przerzucając się do nowej dziedziny, wstąpił na naukę do znanego wówczas w Londynie architekta, G. E. Streeta.

Wkrótce jednak przekonał się, że i to nie jest właściwem polem jego działalności, i ostatecznie postanowił poświęcić się poezji. W tym samym czasie założył miesięcznik p. t. „The Oxford and Cambridge Magazine“, który po roku walki należało zwinąć, dla braku poparcia. Obecnie stanowi on rzadkość antykwarską i rozkupywany jest po cenach niesłychanych. Morris wydrukował w tem piśmie nader romantyczną opowieść¹⁾ i kilka poematów, objętych pó-

¹⁾ Marzenie. — Kochankowie Gerthy. — Swend i jego bracia.

źniejszem wydaniem książkowym. Pismo stało w obrobie ideałów prerafaelizmu i stanowiło pod tym względem dalszy ciąg innego, „The Germ“, które „Braterstwo prerafaelitów“ zaczęło było wydawać jeszcze w 1850 roku, a przerwało po kilku numerach, dla braku abonentów.

Wpływ poglądów „Braterstwa“ na początkową i późniejszą działalność poetycką Morrisa był tak potężny, iż musimy w rysach najogólniejszych bodaj scharakteryzować, na czem polegały teorie i dzieje prerafaelizmu. Pokaże to nam zarazem atmosferę duchową, w której obracał się młody Morris, i pozwoli zrozumieć powstanie pierwszych jego dzieł. Ruch rozpoczął się wśród malarzy.

Przed 1848 r. malarstwo angielskie wpadło w banalną szablonowość: postaci i twarze stereotypowe, bez wyrazu, natura bez życia, malowana w pracowni; cały geniusz modnych artystów pędzla wysilał się na to, aby przedstawić szczegółowo kostiumy komicznych postaci Goldsmitha lub delikatną sierść wielkopańskich piesków. Drobne tematy — drobne talenty. Zbliżała się pora, którą Constable przepowiadał w 1820 r.: „Za lat trzydzieści nastąpi koniec malarstwa angielskiego“. Takie było położenie, gdy w 1845 r. młody, nieznaną artystą, Ford Madox Brown, wracał z Paryża do Londynu z nowem zupełnie pojęciem sztuki, które miało wywołać całkowitą rewolucję w malarstwie i wywrzeć wpływ wielki na poezję angielską. Brown sądził, iż sztuka ginie wskutek skostnienia form, które się stały stereotypowymi, ogólnymi, i że zbawio-

Złote skrzydła. Wszystkie te opowiadania odznaczają się kolorytem średniowiecznym.

na być może jedynie przez postępowanie wprost odwrotne, t. j. przez szczegółowe oddawanie rysów indywidualnych. Z drugiej strony, zdaniem jego, należało szukać ratunku w roli społecznej sztuki: ma ona być, nie zbytkiem bogaczy, lecz chlebem powszednim dla wszystkich. Nadto pod względem wykonania był Brown za powrotem do sztuki gotyckiej i do poprzedników Rafaela. Wystawił cykl pięciu obrazów na temat podboju normandzkiego, malowanych w duchu tych zasad: spotkał go zupełny zawód, bo nie tylko obojętność, ale pogarda publiczności. Nowemu hasłu odpowiedziało jedno tylko drobne echo: 15-letni Dante Gabriel Rossetti napisał do Browna list, prosząc, żeby go przyjął na ucznia. Rossetti uczęszczał wówczas do akademii, gdzie miał dwóch przyjaciół-kolegów: Holmana Hunta i Johna Everetta Millais.

Dwaj ostatni odczuwali również braki panującego wówczas kierunku i zwracali się instynktownie ku nowym wzorom, do „primitywistów“, tylko kiedy Madox Brown szukał u nich ruchów indywidualnych, nie stereotypowych, oni zachwycali się przede wszystkim żywością i oryginalnością barw u poprzedników Rafaela. Niezależnie od wszystkich tych malarzy odczuwał te same potrzeby estetyczne młody jeszcze wówczas i nieznany krytyk, John Ruskin, który wyłożył je był już w 1843 r., w pierwszym tomie swej pracy: „Modern Painters“, upatrując jedynie dla sztuki zbawienie w „powrocie do natury“. Gdy w 1848 r. nowe teorie mniej więcej się wyjaśniły, Rossetti, Hunt i Millais założyli słynne „Braterstwo“ dla celów wcielenia i propagandy. Wkrótce przystąpiło do nich

kilku innych młodzieńców, jak Woolner, Stephens, Collinson, Deverel, Hugh i Collins.

W 1849 r. trzech założyciele nowej szkoły wystąpili z pierwszymi dziełami. Utwory te były przyjęte pochlebnie przez krytykę, gdyż nie podejrzewano jeszcze, iż są rękawicą rzuconą sztuce urzędowej. Stało się to wiadomem dopiero w 1850 roku, gdy młodzi malarze zaczęli wydawać wspomniane już pismo „The Germ“. Myśl, że ci młodzi chcą zmienić cokolwiek w położeniu estetycznym kraju, oburzyła do wściekłości konserwatyzm angielski. Na następnych dwu wystawach dzieła prerafaelitów okryto śmiechem i oszczerstwami. Rodziny młodych malarzy rumieniły się ze wstydu. Wówczas J. Ruskin wystąpił w obronie napastowanych i uratował ich wymownym swym piórem.

Od tego czasu dzieła prerafaelitów były okłaskiwane i rozchwytywane przez publiczność. „Braterstwo“ zdobyło ze dwudziestu nowych członków wśród których znajdowali się Swinburne, Morris i Burne-Jones. Widzieliśmy, w jaki sposób dwaj ostatni zawarli znajomość z D. G. Rossettim; z Ruskinem zaś jeszcze wcześniej weszli w stosunki przyjacielskie.

Rossetti, jeden z najgenialniejszych artystów naszego wieku, wprowadził prerafaelizm nie tylko do malarstwa, ale także do poezyi, i pod tym względem znalazł naśladowcę w Morrisie. By dać pojęcie, w jaki sposób Rossetti postępował, przytoczymy dla przykładu jego „Blessed Damozel“. Temat jest zupełnie idealistyczny, a jednak poeta ani na chwilę nie zapomina o kolorze i kształcie swych widzeń. „Panna wybrana pochylała się nad złotą baryerą niebios; jej

oczy były głębsze, niż toń spokojnych wód wieczorem; miała trzy lilie w ręku i siedm gwiazd było w jej włosach“.

Włosy te spadają, jak żółta, dojrzała pszenica, a na szatach ma tylko jedną białą lilie, zdobytą w zasługach u Maryi. Jest to obrazek, który delikatnością przypomina płótna Fra-Angelica z tą różnicą, że jest tu więcej krwi i ciała, niż w anielskich postaciach mnicha-malarza. W następnej strofice „wybrana panna“ nabiera już rysów czysto ziemskiej namiętności: „I wciąż spogląda na szerokie morze światów, które faluje w dole, aż pierś jej ogrzała sztukę, o którą była oparta“. W przestwory nieba, czysto średniowiecznego, poeta wprowadza swą bohaterkę, która wcale nie jest aniołem bezpłciowym, jak u malarzy pierwotnych. „Chciałabym, aby już przyszedł ku mnie“. „Będę błagała Chrystusa Pana dla niego i dla siebie tylko o to, abyśmy żyli, razem na ziemi, w miłości, i byli, zupełnie jak tam, i na zawsze razem, ja i on“. Spoglądała, słuchała i rzekła głosem mniej smutnym niż słodkim: „Wszystko to będzie, gdy on przyjdzie“. Oparła się na złotych baryerach, pochyliła głowę na ręce i zapłakała.

Ten koloryt idealistyczny, średniowieczny, w którym płoną namiętności ziemskie, znajdujemy w pierwszym tomie poematów Morrisa „The Defence of Guenevere and Other Poems“ (1857). Jeden z krytyków angielskich ocenia ten zbiór w sposób następujący: „Morris jest poetą preraphaelizmu. Ofiarował on dzieło swe malarzowi G. Rossettiemu, i nie jest bynajmniej fantastycznym twierdzenie, iż między dziełami jednego i drugiego istnieje podobieństwo uderzające. Obydwaj artyści czerpią natchnienie w *Śmierci Artu-*

ra. Są oni dobrze obeznani z postaciami rycerstwa angielskiego i z formami bohaterskiego życia. Zamiast Napoleona i Palmerstona, Arthur, Lancelot i Galaad są imionami, które przeważają w ich dziełach. Guenevere jest typem piękna, który wszystkie inne kobiety naśladowały. Może być, że jest tu zbyt wiele mowy o akcesoryach średniowieczyny, ale łatwo się przekonać, iż to nie jest zwykłą wystawą teatralną; terminy starożytne nie są używane jedynie z pedantyzmu archeologicznego, ale wyrażają głęboką znajomość zanikłych pokoleń, których życie malują. Są to dwaj kolorysty pierwszorzędni. Rossetti przewyższa pod tym względem wszystkich swych współczesnych; można nawet powiedzieć, iż od czasów Tycyana żaden malarz nie prześcignął go, być może, pod względem bogactwa wschodniego, wspaniałości świetlnej i natężenia barw. Również i uwagę Morrisa zawsze przyciąga kolor przedmiotów. Jest on zakochany w złotych włosach swych bohaterek, nie tyle zaś zwraca uwagi na to, czy są wielkie czy małe, piękne czy brzydkie. Złoto, purpura i zieleń, których używa Rossetti, są odtworzone w poematach Morrisa“.

Legendy o mytycznym królu Arthurze i żonie jego, pięknej Genowefie, opracowane były, oprócz Morrisa, jeszcze przez Tennysona, który wcześniej jeszcze przedmiot ten sobie obrał. Otoż jest rzeczą godną uwagi, iż Morris nie wpadł pod wpływ swego poprzednika, lecz opisuje Wieki Średnie w sposób zupełnie odmienny. A mianowicie Tennyson przedstawia epokę Arthura z punktu widzenia człowieka nowożytnego, gdy, przeciwnie, Morris traktuje ją jak człowiek ówczesny. Tennyson jest wyższy pod względem piękna

frazesu, stylu, wersyfikacji, lecz ustępuje Morrisowi w potęgę dramatycznej i kolorze lokalnym.

Ale oprócz wpływu Rossettiego w tym pierwszym zbiorze poezji odnaleźć można jeszcze wpływ subtelności psychologicznych Browninga, dzięki czemu czuć pewną różnobarwność w pochodzeniu tych poematów. Są one w każdym razie dalekie od tej samodzielności i doskonałości opracowania, które czuć w dziełach o dziesięć lat późniejszych, jak „Jazon“ lub „Raj Ziemi“. Być może, iż dlatego pierwszy tom poezji Morrisa przeszedł niepostrzeżenie i dopiero po 25 latach, gdy autor stanowczo już zdobył sławę, krytyka zwróciła należytą uwagę i na te jego poetyckie pierwociny.

W tym samym tomie znajdujemy kilka drobnych poemacików, prawdziwych pereł. Są to ballady w formie monologów: „A Shameful Death“, „Old Love“, „The Judgement of God“ i mały dramat p. t. „Sir Peter Harpdon's End“, nawiany wpływem Browninga. Są to same tematy rycerskie, pełne szlachetnych uczuć; w oddaniu kolorytu epoki odznaczają się wspaniałością wyobraźni. Żywi i realni ludzie obracają się tu w atmosferze marzenia.

Nawiażmy teraz nie dalszego rozwoju prerafaelizmu w malarstwie. W 1856 r. zwycięstwo nowej szkoły było zupełne, ale zarazem nastąpił koniec „Braterstwa“. Większość członków rozjechała się w różne strony świata. Millais, wybrany do Akademii, zaczął się wyrzekać powoli dawnych swych ideałów. Ruskin, mistrz szkoły, napróżno żyzął się i gniewał za to odstępstwo: czekały go inne jeszcze ciosy, mia-

nowicie ze strony Rossettiego. Ten znowu prowadził tryb życia wielkopański i rozpustny, co nie mogło się podobać Ruskinowi, tembardziej, iż Rossetti w swych dziełach coraz bardziej oddalał się od modły wskazanej przez krytyka-filozofa, od jego realizmu i tendencyi społeczno-moralnych. „Umiem malować tylko kobiety i kwiaty“ — mawiał Rossetti, jakby dla usprawiedliwienia się i obrony swej niezależności.

Właściwie mówiąc, był to rezultat nieunikniony: wojna skończona; żołnierzy porozpuszczać można. Od 1857 roku prerafaelizm jest zwycięzcą i panuje niepodzielnie. Najwierniejszym myśli Ruskina pozostał Morris w swych wspaniałych próbach zastosowania sztuki do przemysłu. Miał on wciąż na widoku i zadania społeczne sztuki, i jej realizm, i jej wzory średniowieczne. Zanim jednak przejdziemy do scharakteryzowania tej strony działalności poety angielskiego, musimy, trzymając się porządku chronologicznego, powiedzieć, iż w 1859 r. ożenił się z panną Burden. Bliższe warunki tego faktu dokładnie dotychczas wyjaśnione nie zostały. Wiadomo tylko, iż w pani Morris za czasów jej panieństwa kochał się Rossetti. Była wówczas piękną dziewczyną, o bladej, mistycznej twarzy, szarych, głębokich oczach i czarnych falistych włosach. W wyobraźni Rossettiego pozostawiła ślad niezatarty na życie całe. Ją-to przedstawiał głównie w swych obrazach. „W jego postaciach kobiecych — powiada Hueffer¹⁾ — *Sybilla palmifera*, *Milczenie*, *Pia*, *Proserpina* — jakiegokolwiek zresztą imię noszą — jest potęgą ekspresyi i głęboki

¹⁾ Poems of D. G. Rossetti with a memoir by Fr. Hueffer. Ed. Tauchnitz.

patetyzm, które przemawiają do serca tyleż, co do wzroku. Można rzec, iż artysta mało zmieniał typ piękna raz dopiętego. Mamy tu zawsze przed sobą te same oczy szare, głębokie, te same massy faliste włosów ciemnych, te same zmysłowe wargi“.

Ożeniwszy się i, widząc, iż pierwsze jego dzieło poetyckie nie miało powodzenia, Morris zaczął szukać innego pola dla swej działalności. Postanowił zająć się reformą smaku artystycznego swych współczesnych w życiu codziennem i w tym celu, wraz z Maddoxem Brownem, Burne-Jones'em i innymi założył fabrykę obić, gobelinów, szkieł i mebli artystycznych. Praca ta zajęła mu blisko dziesięć lat, w ciągu których nie wypuścił w świat żadnego nowego dzieła poezji; pisał jednak wiele. Fabryka owa była właściwie towarzystwem, mającem na celu eksploatację talentów artystycznych samych założycieli. Było to przedsięwzięcie zupełnie idealne, niemające z początku prawie żadnych podstaw praktycznych, i które utrzymało się jedynie dzięki energii i wytrwałości założycieli. Środki ich materialne były bardzo skromne; prawie bez środków towarzystwo rozpoczęło swą działalność na bardzo niewielką skalę. Kapitał składał się wyłącznie prawie ze spuścizny, którą Morris po ojcu otrzymał; ale za to założyciele posiadali wszyscy talenty pierwszorzędnej miary. Morris wziął na siebie kierownictwo praktyczne przedsiębiorstwa. Pierwszą pracą, do której przystąpiono, była fabrykacja szyb kolorowych; rysunków do nich dostarczali sami założyciele.

Z początku publiczność widziała w tem przedsiębiorstwie fantazję młodych marzycieli: to też w ciągu pierwszych lat ponosiło ono tylko straty. Mieści-

ło się wówczas w drobnym lokalu na Red Lion-Square w Londynie. Na wystawie z 1862 r. otrzymało nagrodę, medal, i sprzedawało trochę wystawionych rzeczy. Publiczność zwróciła uwagę na artystów i zaczęła smakować w ich wytworach. Rozszerzono przedsiębiorstwo, które w 1863 roku nosiło firmę „Morris, Marshall, Faulkner & C-y“. Oprócz szyb kolorowych zajęto się także fabrykacją mebli artystycznych. Bibech Hill¹⁾ opowiada o tych meblach następującą anegdotę. Jednym z pierwszych sprzętów, wytworzonych przez nowatorów, była sofa, której węgłowie kończyło się z obydwu stron dwiema wysuniętymi sztabami drewnianymi. Były one tak długie, iż przechodząc, koniecznie trzeba było zaczepić o nie odzież. Odpilowano po połowie z każdej sztaby. Ale były jeszcze za długie. Zirytowany Morris zdecydował się wreszcie na porabianie całego mebla.

W fabrykacji szkieł malowanych artyści zdobyli sobie szybko słynność, głównie dzięki pracom Burne-Jonesa. Jego-to pomysłu jest wielka róża szklana w kościele Waltham Abbey i szyby katedry Oxfordzkiej. Potem przystąpiono do fabrykacji tapet. Na miejsce arabesków monotonnych i kwiatów nieprawdziwych chcieli nasi artyści wprowadzić modę zdobienia ścian wizerunkami kwiatów i owoców naturalnych. Z początku publiczność zachowywała się opornie względem tej innowacji, z czasem jednak zaczęła w niej smakować.

Zajęto się także farbierstwem. Morris i jego towarzysze nie wstydzili się zniżyć swych talentów do

¹⁾ Letters of Dante G. Rossetti to William Allington, by B. Hill, 1898.

takich rzemiosł. Chlubili się nawet swą godnością rzemieślników-artystów; Morris odwiedzał swych byłych kolegów z Oxfordu, bogatych gentlemenów, nie inaczej, jak w bluzie niebieskiej, mając ręce poplamione farbą. Służba brała go zwykle za rzeźnika i dziwiła się, iż państwo chcą go wpuszczać do salonu.

Morris i Burne-Jones byli niezmordowani. Przygotowywali rysunki nie tylko na szyby i tapety, ale także na podłogi, firanki, kotary, dywany. We wszystkich tych dziedzinach porzucili dziwaczne pomysły stylu rokoka, które wówczas panowały, a powrócili do natury. Tryumf był zupełny: dzięki ich wysiłkom sztuka dekoracyjna odmłodziła. Ich kompozycja, rysunek i barwa wszędzie zostały przyjęte. Morris znalazł mnóstwo naśladowców. Zakład swój, znacznie rozszerzony, przeniósł na Oxford Street i prowadził pod firmą „Morris and Co”. Pod okiem Morrisa i w kierunku przezeń wskazanym wykształciła się cała szkoła młodych artystów, wśród których wspomnieć należy Waltera Crane’a, Voisey’a i Morgana.

Dla swych mebli szukał Morris modeli nie tylko po muzeach starożytności, ale także po wiejskich zakątkach, po farmach, gdzie rozkwiwały często płonki sztuki nieznanej, i gdzie odnajdował resztki starożytnego przemysłu saxonskiego i normandzkiego. Magazyn jego zawiera także fajanse emaliowane (t. zw. *tiles*). W pracy tej znakomitym pomocnikiem był mu ceramista Morgan. W swym zapale renowacyjnym Morris nie zostawił w spokoju nawet pieców: i one uległy gruntownemu przetworzeniu. Szyby barwne, szkła malowane Morrisa (*vitraux*) znane są nie tylko w Anglii, ale w Ameryce, Berlinie, Kalkucie i t. d. Wykonane

są z takim mistrzostwem, iż na wystawach wzdrzano się nieraz je nagradzać w podejrzeniu, iż są autentycznymi starożytnościami, tylko zlekka retuszowanymi.

W jednej ze swych podróży po Francji Morris oglądał obicia (*tapisseries*) starożytne z Arras, których sekret fabrykacyi zaginał. Użył wszelkich wysiłków dla odnalezienia tego sekretu i wykonał na jego podstawie „Adorację”, która obecnie zdobi ściany Exeter College’u w Oxfordzie. Burne-Jones w takisam sposób illustrował legendy Arthurowe. Obydwaj artyści dzielili zazwyczaj między sobą pracę w ten sposób, iż Burne-Jones dawał ogólny rysunek, pozostawiając wykonanie, kolorację, pejzaż, florę i t. p. szczegóły Morrisowi, który swoją drogą powstawał drobniejsze jeszcze roboty inicjatywie swych robotników.

Jest to postępowanie, które zalecał Ruskin, wskazując, iż przy wykonywaniu katedr średniowiecznych najwięksi mistrze tak właśnie postępowali.

Wspólnie z Burne-Jonesem Morris zajął się udekorowaniem pałacu Stanmore Hall i spełnił to zadanie w taki sposób, iż pałac ten stał się miejscem pielgrzymki dla artystów świata całego. Zasadą jego sztuki dekoracyjnej jest zachowanie jednego ogólnego tonu, nie zaś zestawianie współczesne stylów najrozmaitszych, pochodzących z krajów i epok najróżniejszych, co przypomina sale antykwareuszów lub muzea i jest modą barbarzyńską.

Takie były główne prace Morrisa w latach 1858—1868. Jednocześnie zajmował się poezją i, pożyczając od 1869 r., zaczął wypuszczać w świat, jedno po drugim, główne swe dzieła.

ROZDZIAŁ II.

W 1869 r. wyszedł poemat Morrisa „The Life and Death of Jason“, a następnie, w krótkich odstępach czasu, cztery tomy „The Earthly Paradise“ (Raj Ziemski). W dziełach tych rozróżnić można dwa kierunki odrębne: jeden ma swe źródło w mitologii greckiej, drugi w folklorze średniowiecznym. Takie połączenie klasycyzmu i romantyzmu w jedną całość mogłoby być fatalnem, ale poeta zdołał uratować swe dzieło od sprzeczności wewnętrznej opracowaniem prerafaelickiem. A mianowicie, nawet tematy klasyczne otacza on atmosferą średniowieczną, inaczej mówiąc, przedstawia dzieje Capedona i Psyche lub Medeji tak, jakby to czynił poeta z czasów Chaucera, słynnego wieszczki Anglii średniowiecznej.

Jazon miał początkowo stanowić jedną z części składowych Raju Ziemskiego; z czasem jednak rozrósł się do takiego stopnia, iż autor wydał go jako oddzielny poemat. Duchem wszakże i ogólnym nastrojem w nich on się nie różni od „Earthly Paradise“.

Plan tego ostatniego poematu jest nadzwyczaj prosty. Garstka śmiałych podróżników odbija od Norwegii i jedzie na zachód w poszukiwaniu Raju ziem-

skiego, legendowej, zaczarowanej krainy szczęścia. Po wielu burzach i przygodach, gdy się już zestarzel, napotykają łąd nieznany, a uprzejmie podejmowani przez mieszkańców, upodobali sobie ten kraj. Co dwa tygodnie główny kapłan miejscowy urządza ucztę, i nasi podróżnicy snują przy kielichu złoty wątek legend i tradycji starożytnych, które przywieźli z ojczyzny lub zebrali po drodze, ku wielkiemu zadowoleniu słuchaczy. Taki jest plan dzieła: przypomina on w zupełności „The Canterbury Tales“ Chaucera.

Istotnie, ten wielki poeta był przez całe życie mistrzem i wzorem dla Morrisa, który wskrzesza nie tylko starożytne sposoby wierszowania, ale także ducha owych czasów, atmosferę XIV wieku. Nie jest to zresztą ani naśladownictwo, ani plagiat: czuć tylko pokrewieństwo duchowe, wpływ jednego umysłu na drugi poprzez kilka stuleci. Taż sama wspaniałość opisów, gdy chodzi o masy i szeroką akcję; taż sama delikatność szczegółów, gdy chodzi o jednostki; taż sama naiwność wiary, gdy chodzi o coś niepojętego dla umysłów nowożytnych. Tylko dla Chaucera nie było w tem nic dziwnego, gdyż z czasu i rozwoju był on bliższym osób i wypadków, które opisywał; natomiast Morris musiał wysiłkiem fantazji odtwarzać pokrewieństwo zatraczone.

Niema nic trudniejszego, jak dla człowieka naszych czasów zjednoczyć się z bohaterami legendowymi, wejść, że tak powiemy, w ich skórę, czuć i myśleć jak oni. Morris dopiął tego celu z prawdziwym mistrzostwem, używając sposobów następujących: przytacza fakty i szczegóły ze skrupulatnością, która usuwa wszelkie podejrzenie, iż opowiadający nie wierzy w swe baśni; następnie, będąc malarzem z tem-

William Morris.



peramentu, stara się głównie oddać stronę malowniczą, koloryt każdej sceny. To było głównym celem jego ambicji.

Gdy spoglądamy na dobry obraz, przedstawiający temat mytologiczny, nie przechodzi nam nawet przez myśl, iż artysta może nie wierzyć w swój przedmiot. Toż samo, gdy czytamy opowiadania Morrisa. Pod względem idei i treści był on oryginalny i po-niekąd niezależny od Chaucera. Natomiast pod względem formy, rozmiarów, rytmów, we wszystkim brał za wzór mistrza. Siedmiowierszowe stanze, cztero-i pięcio-wierszowe kuplety i t. d.—wszystko to całkiem za-pożyczzone od Chaucera i teraz już prawie zupełnie wyszło z użycia.

Narzędzia te nie nadawałyby się do wyrażenia uczuć współczesnych, ani też do delikatnej analizy psychicznej; lecz Morris głównie zajmuje się stroną zewnętrzną wypadków, sceneryą, barwą, potracą gam-mę wzruszeń tylko elementarnych, a do tych tematów jego formy są zupełnie przystosowane. Język starożyt-ny wytworny, unikający wszelkich wyrazów zbruka-nych w codziennem użyciu, pełen energii i zara-zem słodczy. Takie są środki, których poeta używa dla odtworzenia podań starożytnych i średniowiecz-nych, prawie bez zmiany.

Może tylko w klasycznej mytologii autor prze-słania, co w niej jest nazbyt zmysłowo obnażonego, ale czyni to w sposób tak delikatny, iż nie razi na-szych reminiscencji. Dodajemy wreszcie, że w wybo-rze tematów i opracowaniu widać jego osobowość, je-go sposób myślenia i czucia: zpośród mytów i legend wybiera tylko to, co jest wdzięczne, ludzkie, śmiałe i, rzecz najcharakterystyczniejsza, smutne—w patetycz-

nej wierze, że życie jest krótkie, a wszystko zni-kome i skazane na zapomnienie. Ta struna dźwięczeń będzie poprzez całą działalność poetycką Morrisa, ci-cho, ale wyraźnie. Tylko tu melancholia nie przybie-ra nigdy form nowożytnego zrozpaczenia, które by-łoby fatalne przy oddaniu pogodnego piękna ideałów starożytnych: zdrowa i silna natura poety przewy-cięża zniechęcenie i ratuje myśl od rozbicia. Niema tu ani śladu buntu przeciw warunkom i prawom. Mor-ris posiada siłę męskiego poddania się temu, co nie-uniknione. W tym duchu umiał zachować tradycje pogańskie. Jest poganinem jeszcze i pod tym wzglę-dem, iż nie wyraża żadnej zasady nowożytnej, este-tycznej, moralnej czy religijnej.

Widzieliśmy, jaką prostotą odznacza się plan „Raju Ziemskiego“, ale w opracowaniu Morrisa zdo-bywa on wielkie bogactwa czarujących szczegółów. Każda część odpowiada jednej z czterech pór roku, każdy miesiąc dostarcza tekstu dla prologu, który przypomina bądź prologi Chaucera, bądź wdzięczne dygressye Ariosta. We wszystkim przeważa atmosf-e-ra średniowieczna, pełna mgieł i snów, które unoszą się i nad ponuremi powieściami Skandynawii i nad promiennymi legendami Grecyi; przyczem te ostatnie zawsze są zmienione przez wyobrażenia gotyckie, jak to się zwykle dzieje na obrazach Prymitywistów. Opowiadanie rozwija się zgodnie z rytmem zmian w otaczającej naturze.

W pierwszej księdze „Raju Ziemskiego“ najpię-kniejszą opowieścią jest „The Story of Cupid and Psyche“, zarazem dla autora najbardziej charakterys-



tyczną. Morris opowiada tu tylko nieszczęścia Psyche, zesłane na nią przez Wenere; natomiast zbywa milczeniem ostateczny tryumf, gdy Jowisz udziela jej nieśmiertelności. Jest to szczegół nader znaczący: apoteoza Psyche oznacza tryumf miłości, jej cierpienia są tylko próbami wstępnymi. Miłość jest to piękna, rozkoszna dolina, otoczona lasem, pełnym dzikich zwierząt i straszylek; trzeba iść naprzód śmiało, nie zwracając uwagi na nie, a cel ostateczny napewno wynagrodzi trudy.

Legenda Morrisa jest przeczeniem tej prawdy: w pogoni za miłością zbieramy tylko cierpienia. Czyżby to było, jak przypuszcza Buxton¹⁾, tylko niezręcznością, wywołaną brakiem miejsca, gdyż każda opowieść ma według planu rozmiary ograniczone? Taki mistrz słowa i formy, jak Morris, nie mógłby być powstrzymany przez wzgląd tego rodzaju; opuściłby raczej niektóre szczegóły, albo wreszcie rozbiłby swą opowieść na dwie części, jak to uczynił z historią Bellerofonta. Nam się wydaje, iż w tem opuszczeniu jest myśl głębsza, której należałoby szukać w historii sercowej samego poety, historii dotychczas nieznaney i którą tylko pomietniki Michała Rossettiego po części odsłaniają.

Wspomnieliśmy już, że Morris miał współzawodnika na polu miłości w osobie swego przyjaciela, D. G. Rossettiego. Szczegóły tej sprawy nie są jeszcze znane; wiadomo tylko, iż Morris otrzymał rękę osoby, o którą obydwaj się ubiegali, przyczem Rossetti był już gdzieindziej związany.

Czyżby w tem nie należało także szukać przy-

¹⁾ H. Buxton Forman. Our living poets.

czyn cienia, który przesłaniał wciąż pogodną radość bytu Morrisa, cienia, który nie pozwalał mu wierzyć w nieśmiertelność miłości, a nakazywał zadawać się raczej jej stroną artystycznie-pogańską, niż czem innym? W takim razie to pominięcie tryumfu Psyche byłoby całkiem zrozumiałe. Człowiek mający własne swe siły czuje się zwykle wyższym ponad kłamstwa uczuć konwencyonalnych. Niechaj ci, którym udało się dopiąć rajów harmonii dusz, śpiewają hosanna! Niechaj stado posłusznych baranów zachwycą się tem, czem przyzwyczajono się zachwycać, i udaje rozkosze nadziemskie — ale prawda jest przywilejem silnych. W historii Psyche Morrisa trudy i cierpienia miłości przeważają i gdy ona tak leży pełna męczarni, nie znając ani nadziei, ani odpoczynku, tylko „Feniks, który przelatywał temi stronami, udając się do Egiptu, uśmierzył jej boleść kroplą łitości“.

Pośród legend zapożyczonych z folkloru skandynawskiego najlepszą jest „The Lovers of Gudrun“. Bohaterką jest piękna Gudrun, nad którą ciąży fatum: wróżbiarze na zasadzie wieszczego jej snu głosili, iż przeżyje czterech mężów. Akcja rozpoczyna się po śmierci dwu pierwszych. Kiartan, najszlachetniejszy młodzieniec Islandu, prosi o rękę Gudruny i zaręcza się z nią. Przed ślubem jednak udaje się — szukając sławy — z najlepszym swym przyjacielem, Bodlim, do Norwegii, gdzie król Olaf rozpowszechnia chrześcijaństwo za pomocą oręża.

Wnet po opuszczeniu Islandu Bodli dostrzega z rozpaczą, iż także kocha Gudrunę, odpędza jednak od siebie myśl wydarcia jej przyjacielowi. Są bardzo dobrze przyjęci przez Olafa, za co Kiartan wywdzięcza się względami świadczone mi Ingibiordze, siostrze

króla. Ona jest wkrótce zakochana, on także odczuwa jej czar i, zdaje się, zapomina już o Gudrunie, gdy tymczasem Bodli coraz głębiej pogrąża się w swą namiętność. Po pewnym czasie wraca do Icelandu, przywożąc tylko chłodne pozdrowienie od Kiartana, opowiada Gudrunie o nowych uczuciach przyjaciela i proponuje, aby wyszła za niego. Gudrun się zgadza i wychodzi za Bodlego, nie z miłości, lecz z urazy ku tamtemu.

Wkrótce jednak Kiartan wraca i żąda dotrzymania słowa: okazuje się, iż tamte miłostki nie były niczem i że on wciąż kochał Gudrunę. Ale już zapóźno! Kiartan w złości żeni się z Refną, aby zapomnieć. To jednak do niczego nie prowadzi. Przyjaciele walczą: Kiartan ginie z ręki Bodlego, ale i ten zabity zostaje przez rodzinę Kiartana.

Gudrun wychodzi jeszcze raz za mąż, jeszcze raz wdowieje, i w ten sposób przepowiednia sprawdza się. Treść ta wzięta jest z *Laxdaela saga*, ale charakter ludzi narysował sam Morris: przez szlachetność wrodzoną Bodli długo opiera się pokusie zdrady; miał zamiary dobre, lecz uległ w końcu, wiedząc zresztą, iż szczęścia nie znajdzie i że serce swe oddaje na pastwę zgryzotom. Nie może odjechać od Gudruny, a z nią czuje się nieszczęśliwym, zwłaszcza, iż ona go niecierpi. Przyjaciele, nawet wrogami nie zapomnieli dawnej swej przyjaźni i, walcząc, przedstawiają pierś, by umrzeć jeden z ręki drugiego.

Ta stara legenda zachowała całą swą świeżość i surowość w opracowaniu autora. Język dobrany jest tak, aby nie poddawać wcale myśli współczesnych. Jest to, zdaniem wszystkich krytyków, najlepsze opo-

wiadanie „Raju Ziemskiego“ w cyklu powieści skandynawskich, które podróżnicy sami wygłaszają. Średniowieczne legendy opowiadane są przez jednego z ich towarzyszków, niemieckiego zakonnika, Laurencyusza.

Pośród nich zasługują na uwagę dwie: „The Ring given to Venus“ i „The Hill of Venus“, z czasów, gdy pogańskie tradycje mieszały się z chrześcijańskimi. W pierwszej pewien młodzieniec z Rzymu kładzie swój pierścień na palec posagu Wenery i tylko za pomocą czarnoksiężstwa zdobywa go napowrót, nie od posagu, lecz od Wenery samej. Autor zbiera cały Olimp, któremu przewodniczy dyabeł średniowieczny. Wszystko to opowiedziane z pełnią wiary i przekonania.

Druga legenda jest historią Tannhäusera: gdy Walter ucieka z groty Wenery i szuka w Rzymie pokuty i odpuszczenia grzechów u stóp papieża; między nim i zbawieniem staje bogini, zmazując wizerunki świętych i Madonny. Walter wraca do groty.

Pośród innych legend średniowiecznych zasługują na uwagę: „The Proud King“ i „The man born to be King“.

Nareszcie, myty starożytne opowiadane są przez mieszkańców kraju, w którym osiedli nasi podróżnicy i który jest starożytną kolonią grecką. Oprócz wspomnianej „Story of Cupid and Psyche“ należy tu zaznaczyć „The Doom of King Acrisios“, gdzie Morris przedstawia romans Jowisza z Danae, z niesłychanym wdziękiem. Tytuły innych mytów dostatecznie świadczą o ich treści: „Atalanta's Race“, „The Love of Alcestis“, „Bellerophon in Argos“, „Bellerophon in Licia“ etc.

W jednej tylko opowieści, w „The Land East of

the Sun and West of the Moon“, widoczny jest wpływ Shelleya, który wszakże wogóle w historii rozwoju Morrisa wielkiej roli nie odegrał.

Śród wszystkich swych opowieści poeta nie mógł ominąć tradycyjnej historii Kopciuszka, Cendrillon, którą opowiada w „The Fostering of Aslang“. Są to dzieje nieszczęśliwego dzieciństwa i młodości córki Sigurda i Brunhildy, zakończone szczęśliwym małżeństwem.

Wogóle powiedzieć można, iż „Earthly Paradise“ jest zbiorem wszystkich wybitnych mytów, tradycji i legend indo-europejskich, oddanych z realizmem, z prawdą ludzką i psychologiczną, z muzykalnością rytmu i pięknem niezrównanem języka.

Autor nie jest psychologiem z powołania, ale jego mężczyźni i kobiety są realnymi ludźmi, kochając z namietnością ludzi dorosłych i zdrowych, a nie z różowym sentymentalizmem chłopców i dziewcząt, a w nienawiści są nieubлагani i okrutni.

Morris zachował wszystkim mytom i legendom ich aromat, świeżość i wdzięk. „Głównie jednak, — jak słusznie powiada Buxton Forman — mamy tu do czynienia zawsze z prawdziwą poezją, nie zaś z prozą, ukrytą za parawanem próżnej wersyfikacji“.

Poezję „Raju Ziemskiego“ można śmiało nazywać dekoracyjną. Zresztą autor sam ją sobie w taki właśnie sposób przedstawia. W jednym ze swych poematów powiada: „Nienawidziliśmy śmierci, nie umiając przeniknąć jej znaczenia; uwielbialiśmy życie, poprzez liście zielone i liście pożółkłe — jakkolwiek sens życia rozumieliśmy jeszcze mniej. — Ziemia

i niebo, przez długie lata, lata bez liku — w swych zmianach powolnych były dla nas tylko pięknymi dekoracyami, zawieszonemi w komnacie wąskiej, gdzie igrają uśmiechy i lzy dni próżnych człowieka“.

Samo życie jest długą galeryą pozorów i ulud: taką też powinna być poezya. Życie, jego walki, dążenia, miłość, w naturalnej swej prostocie i piękności, niezsute żadną brzydotą cywilizacji, życie, jakim żyje człowiek pierwotny: oto prawdziwy Raj ziemski, źródło marzeń i uroków.

Opowiadanie autora jest proste, wdzięczne, naturalne, przeniknięte poezją pogodną i męską, w języku prostym, acz kunsztownym — prostym, gdyż Morris nienawidził wszystkiego, co tchnęło manieryzmem lub pretensjonalnością.

Wraz z „Rajem Ziemskim“ wyszedł poemat „Życie i śmierć Jazona“, który pierwotnie stanowić miał część jego składową. Rzecz dzieje się tu na wolnym powietrzu, w pełnym, świeżym, rozkosznym odczuciu natury, zdrowia i piękna greckiego. W bezpośrednim zetknięciu z przyrodą poeta czuje się najszczęśliwszym. Kocha namietnie żywioły we wszystkich formach i objawach; żaden ich rys nie uniknął jego uwagi. Jego jeziora, obłoki, góry — to nie studia z drugiej ręki, lecz rezultaty bezpośredniej styczności, to natura w całej swej świeżej i surowej prawdzie. Zwłaszcza opis burzy w „Jazonie“ świadczy, iż poeta nieraz miał do czynienia z rozhukanemi żywiołami. Cały przedmiot traktowany jest w tonie pogodnym, z lekką refleksywnym. Autor pozostaje wiernym tradycjom mitologii, tylko w pojęciu Medei znajdujemy pewną dowolność: z surowej i okrutnej królowej Morris czyni dziewczę czule, o silnym charakterze. Uwalnia ją także od

zabójstwa brata, Abagitusa, i dlatego też później bohaterka, gdy ją Jazon porzuca, budzi tylko litość.

Morris zmienił również zakończenie: gdy oburzona królowa dokonywa swej zemsty i ucieka, poeta nie każe, wraz z tradycją, umrzeć wnet potem niewiernemu Jazonowi, lecz wskrzesza w jego sereu starą miłość ku Medeji i potem dopiero zadaje mu śmierć.

Jest to jedna z tych transformacji mitologii, których Morris bardzo często pozwalał sobie w „Raju Ziemskim“. We wszystkich tych pracach pozostawał oddalony od życia i nazywał siebie „a dreamer of dreams born out of my due time“. Takim właśnie jest on w „Apologu“ do „Earthly Paradise“. Trudno znaleźć coś bardziej czarującego dzięki marzycielskiej melancholii i skromności. Jest to najlepszy wstęp do poezji Morrisa. By czytelnik miał o nim dokładniejsze pojęcie, podajemy tutaj ten „Apolog“ w przekładzie prozą — przytaczając zresztą i oryginał.

„Nie potrafię wam śpiewać o niebie i raju—ani też zmniejszyć ciężaru waszych obaw — ani wyśmiewać śmierci grożącej co chwila nadejściem—ani zwrócić wam szczęścia dni ubiegłych. — Słowami memi nie mogę otrzeć waszych łez — ani pocieszyć, ani wzbudzić nadziei — ja, próżny śpiewak przelotnego dnia.

„Lecz raczej wy, gdy, znużeni radością—wzdychacie pełną, acz niezadowoloną piersią—i zdjęci dobrocią dla ziemi całej — żałujecie każdej chwili, w miarę tego jak przemija — zadumani nad tem, iż piękne dni znikają w lot — wy wspomnijcie, proszę, jednym błyskiem myśli o mnie — próżnym śpiewaku przelotnego dnia¹⁾.

¹⁾ Of Heaven or Hell I have no power to sing,
I cannot ease the burden of your fears,

„Ciężkich smutków, w dziki szal wprawiających trósk — które gnębią tu nas, co w pocie czoła chleb swój spożywamy — te biedne wiersze nie zdołają spędzić: — pozwólcie mi więc śpiewać imiona napływające z przeszłości — tych, którzy, już nie żyjąc, nigdy przecież umrzeć nie mogą — których pamięci czas nawet długi nie odegna — od nas, biednych śpiewaków przelotnego dnia.

„Marzyciel snów, urodzony nie w swoim czasie — czyż mam próbować waleczyć w obronie krzywd? — Niech wam starczy, iż mój wiersz szemrzący — bije lekkim skrzydłem o drzwi ze słoniowej kości — opowiadając legendę niezbyt natrętną — dla tych, co spożywają w krainie snów — kołysani przez śpiewaka przelotnego dnia¹⁾.

Or make quick-coming death a little thing,
Or bring again the pleasure of past years,
Nor for my words shall ye forget your tears,
Or hope again for aught that I can say, —
The idle singer of an empty day.

But rather, when aweary of your mirth
From full hearts still unsatisfied ye sigh,
And, feeling kindly unto all the earth,
Grudge every minute as it passed by,
Made the more mindful that the sweet days die:
Remember me a little then, I pray, —
The idle singer of an empty day.

¹⁾ The heavy trouble, the bewildering care
That weighs us down who live and earn our bread,
These idle verse have no power to bear;
So let me sing of names remembered,
Because they, living not, can ne'er be dead,
Or long time take their memory quite away
From us — poor singers of an empty day.

„Lud śpiewa, iż czarodziej królowi północy — na Boże Narodzenie pokazał rzecz dziwną: — przez jedno okno dał mu widzieć cudną wiosnę — przez inne znowu wszystkie wspaniałości lata — przez trzecie jesień w wienku dojrzałych winogron — a przez ten czas nieznacznie, jak zwykle w tej porze, — dał ciągle straszny wichor mroźnych dni grudniowych.

„Tak też się dzieje i z Rajem Ziemskim — jeżeli zechcecie go czytać i wybaczyć mi, — żem stworzyć usiłował cienistą wyspę błogosławieństw — pośród bałwanów rozszalałego morza, — co na wsze strony sercami ludzkimi miota — morza, którego żarłoczne potwory niechaj zabijają ludzie silni — lecz nie ja, biedny śpiewak przelotnego dnia¹⁾.

Dreamer of dreams, born out of my due time,
Why should I strive to set the crooked straight?
Let it suffice me that my murmuring rhyme
Beats with light wing against the ivory gate,
Telling a tale not too importunate
To those who in the sleepy region stay —
Lulled by the singer of an empty day.

- ¹⁾ Folk say, a wizard to a northern king
At Christmas - tide such wund'rous things did show,
That through one window men beheld the spring,
And through another saw the summer glow,
And through a third the fruited vines a-row,
While still, unheard, but in its wonted way,
Piped the drear wind of that December day.
So with this Earthly Paradise it is,
If you will read aright, and pardon me,
Who strive to build a shadowy isle if bliss
Amidst the beating of the steely sea,
Where tossed about all hearts of men must be,
Whose ravening monsters mighty men shall slay, —
Not the poor singer of an empty day

Poświęcając „Raj ziemski“ Chaucerowi, Morris powiada: „Jeżeli w jakimś starym ogrodzie pracowaliśmy obydwa — i na starych pniach szczepili świeże plonki; — jeżeli dla ludzi oddanych na pastwę nudów — ożywiłszy czar dni ubiegłych, praca nasza nie była straconą — i ja także wziąłem słaby udział w tem dziele — ja próżny śpiewak przelotnego dnia“.

To zniechęcenie i rozczarowanie estetyka, uciekającego od życia w krainy snów, zaczyna się rozpraszać po napisaniu „Raju Ziemskiego“. W następnym poemacie, „Love is enough“ (1872), znajdujemy już obok religii piękna nowy czynnik: religię miłości. Tu już są zarodki tego przewrotu, który w dziesięć lat później w Morrisie ostatecznie się dokonał. Tymczasem jednak poeta odbył podróż do Islandyi; tam poznał kilku literatów i studiował przeżytki starej poezyi północnej. Miał w tej pracy towarzysza w osobie Eryka Magnussona, i razem tłómaczyć zaczęli sagi islandzkie, które wychodziły w następującym porządku: „The Story of Grettir the Strong“ (1869), „The Volsunga Saga, with certain songs from the Elder Edda“, (1870) i „Three Northern Love Stories“ (1875). Morris starał się w tłómaczeniu tem głównie o zachowanie ducha sag islandzkich i dokonał pracy z prawdziwą doskonałością. Dostarczyła mu ona zarazem materiału dla kilku opowieści z „Raju Ziemskiego“. Nareszcie pod tymże wpływem napisał „The Story of Sigurd the Volsung“, uważaną przez niektórych krytyków za najlepszy jego poemat epiczny. „Volsunga Saga“ jest zbiorem mytów, które w historii literatury wszechświatowej odegrały taką samą rolę, jak opowieści o Wojnie Trojańskiej i legendy Arthurowe.

Środkową figurą tej sagi jest Sigurd czyli Siegfried, pochodzący z bohaterskiej i boskiej rasy Volsungów.

Volsunga Saga, spisana po raz pierwszy w XIV w., istnieje w dwóch wersjach: islandzkiej i niemieckiej. Morris przetłumaczył pierwszą, ale do swego poematu skorzystał także z drugiej. Oprócz Morrisa ten sam temat, jak wiadomo, opracował także ostatnimi czasy R. Wagner w swej tetralogii „Der Ring der Niebelungen“; tylko pierwszy uczynił to w formie epicznej, drugi — w dramatycznej. Obydwaj jednak czerpali raczej ze starożytniejszej wersji, islandzkiej, niż z późniejszej, niemieckiej, zawartej w „Niebelungenliedzie“. Morris wziął z tej drugiej formę metryczną.

Volsunga Saga w swej pierwotnej postaci wydaje się czytelnikowi powierzchownemu spletanym zbiorem przygód niewiarogodnych, pełnym zabójstw, kazirodstwa, bratobójstwa i tym podobnych okropności. Przy bliższem jednak wejrzeniu w rzecz można — jak to Hueffer¹⁾ wykazuje — odnaleźć w tem *imbroglio* pewien plan, a także pewną przewodnią ideę moralną, która zaciemniona została przez nieokiełznaną wyobraźnię starych bardów. Nowsi zaś poeci, którzy podjęli się opracowania Volsunga - Sagi, zwrócili uwagę na wyjaśnienie tego planu. Mieli oni przed sobą dwie drogi do wyboru: albo zupełnie porzucić porządek, w jakim następowały po sobie starożytne opowieści, i na nowo je ugrupować koło idei przewodniej; albo też trzymać się w głównych zarysach oryginału, rozwijając tylko szczegółowiej punkta

¹⁾ Poems by William Morris, with a memoir by Fr. Hueffer Ed. Tauchnitz.

ważne dla zaznaczenia sensu wewnętrznego historyi, z pominięciem epizodów drugorzędnych, stanowiących późniejsze dodatki. Wagner wybrał pierwszą drogę, Morris — drugą. Obydwaj uważają za ideę przewodnią poematu przekleństwo, związane ze złotem, a raczej z żądzą złota.

W krótkich słowach treść poematu jest następująca. Sigurd, syn Sigmunda Volsunga, wychowany został przez matkę swą, która po śmierci Sigmunda powtórnie wyszła za mąż, za króla Elfa. Gdy Sigurd dorósł, zabija przy pomocy ojcowskiego miecza smoka Fafnira, porywając skarby, których on strzegł, z dodatkiem pierścienia i czapki magicznej. Ta czapka czyni Sigurda niewidzialnym i udziela mu niezwykłej siły.

Skosztowawszy krwi smoczej, rozumie on język ptaków i w ten sposób dowiaduje się od orła, iż piękna dziewczica leży uszpiota na skale zwanej Hindfell, okrażonej wieniec płomieni. Sigurd przedostaje się przez ogień do zaczarowanej królowny, Brunhildy, Walkiryi, zdobywa jej miłość i żyje z nią przez pewien czas na Hindfell'u. Spragniony przygód, opuszcza ją wszakże i udaje się na brzeg Renu, gdzie mieszkają bracia królewscy Gunnaz, Hogni i Gutorm, Nibelungowie, i siostra ich, Gudrun, najpiękniejsza z dziewcząt, a także matka ich, Grimhild, czarodziejka. Dzięki truciznie miłosnej, przyrządzonej przez nią, Sigurd zapomina o ślubach, wiążących go z Brunhildą, zakochuje się w Gudrunie i żeni się z nią. Czar jest tak potężny, iż nawet imię Brunhildy znikło z jego pamięci: gotów jest już ubiegać się o nią, by ją zdobyć dla Gunnaza. W tym celu przybiera, przy pomocy swej czapki magicznej, postać Gunnaza i jesz-

cze raz przebywszy wieniec płomienny, zaręcza się z Brunhildą i otrzymuje od niej napowrót pierścien, który jej niegdyś był dał. Wraca z nią następnie, przybiera własną swą postać i oddaje walkiryę Gunnazowi.

Brunhilda, dowiedziawszy się z czasem przez żonę Sigurda, o fałszu, którego padła ofiarą, pała zemstą i namawia swego męża i jego braci do zabicia Sigurda. Czyn ten dokonany zostaje, ale wówczas stara, niezagasła namiętność budzi się w sercu Brunhildy. By połączyć się z kochanym, bohaterka przeszywa sobie pierś mieczem—i wspólny stos pali ich zwłoki.

Na tem Wagner kończy swój dramat. Morris jednak, wślad za sagą, snuje w dalszym ciągu wątek mytów. Po kilku latach ponurego wdowieństwa Gudrun wychodzi za brata Brunhildy, króla Atli. Ten, chcąc zagarnąć skarby Sigurda, które obecnie znajdują się w posiadaniu Nibelungów, zaprasza ich do swego kraju i tu zadaje im śmierć zdradziecką. To Gudrun namówiła męża do tego zabójstwa, to ona spoglądała spokojnie na śmierć swych braci i krewnych. Gdy jednak morderstwo dokonane zostało i śmierć Sigurda zemszczona, opadają królową zgryzoty sumienia. Gdy Atli i rycerze jego śpią, ona podpala pałac królewski i wszyscy jak są giną. Po tych okropnościach Gudrun według sagi ma jeszcze żyć długie lata i wyjść po raz trzeci za mąż. Ale nawet Morris wyrzeka się dalszego snucia tych opowieści i skraca je utopieniem Gudruny w jeziorze.

Skarb wykradziony niegdyś elfowi wodnemu, Audwaremu, i wywołujący chciwość ludzką, jakkolwiek cięży nad nim przekleństwo, jest podstawą całej sagi. Przekleństwo to ziszcza się fatalnie na wszystkich jego posiadaczach, od samego Audwarego i Fafnira, który

zabił był dla niej ojca, aż do Sigurda i Nibelungów. Nawet sam Odin, bóg najwyższy, podpada pod przekleństwo, gdyż także pożądał skarbu, i ostateczny Zmierch Bogów także związany jest z fatalnym wpływem złota. Saga też zapowiada tajemniczo, iż Sigurd odrodzony wyrwie skarb i władzę z nim związaną z rąk ponurych Nibelungów. W innej wersji mytu Sigurd staje się symbolem słońca, walczącego zwycięsko z mrokami nocy. Z idei tej mistycznej Wagner skorzystał w scenie, gdzie Siegfried występuje w promieniach słonecznych, a również i Morris ją zaznacza, ale nie tak wyraźnie, gdyż jemu nie tyle chodzi o myśli zawarte w sadze, ile o nią samą. Opowiada też ją, trzymając się, o ile można, najbliżej oryginału; jeżeli zaś wprowadza Zmierch Bogów, wywołany własną ich winą, oraz zbawczą missyę Sigurda, czyni to w sposób niewyraźny, nawpół świadomy, naśladując i pod tym względem ściśle charakter mytu.

„The Story of Sigurd the Volsung und the Fall of Niblungs“ pisany jest w stylu prostym i pełnym epicznej pogody. Oto początek pierwszej pieśni: „Za czasów, gdy świat był jeszcze młody, król jeden miał pałac — w którym książęta byli odźwiernymi; dachy w nim pokryte były złotem; hrabiowie go budowali; ich żony w nim przędły.

„Tam ludzie serca radosnego, pełni otuchy i wiary, spotykali dobre i złe dni, jak przychodziły, zgodnie z losem. Tam bogowie nie byli zapomniani, albowiem żyli pośród ludu; a jednak już w tych pierwszych dniach świata wznosił się zdala szmer, zapowiadający czasy późniejsze i dni ostatnie, koniec wszelkiego szczęścia“. Ci ludzie, o sercu radosnem, w zupełności przypominają bohaterów homerskich. Poe-

ta lubił uciekać od banalności go otaczającej w czasy odległe. Z tej sagi „dobywają się płomienie namiętności, których wszystkie wzgórza lodowe północnej krainy lodów nie przyćmiły swym ponurym cieniem i których wszystkie wody, wszystkie jeziora, otaczające wyspę Thule, nie omyły z ich ognia i barwy“ — powiada słusznie Buxton Forman. Morris czuł się w swoim żywiole wśród tych bohaterów pierwotnych, Grettirów, Gunnlangów, Sigurdów i innych. Umiał on wskrzesić proste i szlachetne postaci starożytnej epepei. Panuje nad nią ogólna atmosfera fatalizmu, którą Morris tem lepiej odtworzyć zdołał, iż sam był zwolennikiem filozofii fatalistycznej.

Wspomnijmy wreszcie, iż poeta dał tłumaczenie „Eneidy“ i „Odysei“ i że prace te zdobyły mu powszechne uznanie. Morris dosięgnął tu najwyższego stopnia doskonałości, możliwego w przekładach: oddaje słowo w słowo oryginały i zachowuje jednocześnie ich piękno. „Tłumaczenie to, powiada jeden z krytyków o „Eneidzie“, jest napewno lepsze niż Drydena, tak przecież dobre. Morris nieustannie szedł za tekstem poety łacińskiego, nie pozwalając sobie żadnej dowolności; gdy, przeciwnie, Dryden wielokroć zadowolił się wskazaniem ogólnego znaczenia wyrażen, nie odtwarzając szczegółów“. O tłumaczeniu „Odysei“ inny krytyk powiada: „Nigdy jeszcze wysiłek literacki nie był uwieńczony rezultatem wspanialszym. Niema ani jednego ustępu dzieła, w którym nie można by odnaleźć stylu poety greckiego; bohaterowie Homera mają w tłumaczeniu Morrisa prostotę mowy równą oryginałowi. Zrobić lepiej byłoby niemożliwością“.

Zarzucano Morrisowi, iż zbyt wiele zajmował

się tłumaczeniami, tracąc czas na pracę, której mogliby dokonać ludzie mniej zdolni. Jest w tym zarzucie część prawdy; ale kto wie, czy z wiekiem, gdy zdolności twórcze słabną, tłumaczenie nie musiało zastąpić samodzielnej pracy poety.

Obejrzelismy cały dorobek poetycki Morrisa. We wszystkim widzieliśmy przetwórcę oryginalny i osobisty tematów znanych. Przetwory takie nie wymagają darów istotnie twórczej imaginacji. Sądźmy wszakże, że tę imaginację posiadał poeta w stopniu dość wysokim, opierając się głównie na jego powieści „News from Nowhere“, o której mówić będziemy w dalszym ciągu. Jeżeli nie dał jej dowodów w swej twórczości czysto poetyckiej, stało się to głównie pod wpływem teorii prerafaelitów, które wymagały raczej przeróbek oryginalnych tematów archaicznych, niż odkrywania horyzontów zupełnie nieznanymi.

Jakież więc są czynniki, które poezji Morrisa nadają znaczenie pierwszorzędne? Sir Alfred Austin w swoich szkicach „The poetry of the Period“ słusznie wychwala muzykalną wartość wierszy Morrisa, nazywając go „dulcent client of Apollo“, jego niewzruszoną słodyczą i czułością delikatną jego duszy. Istotnie, we wszystkich tych sprawach Morris jest niezrównany. Język jego zyskuje na prostocie wszystko, co traci na sile. Ale więcej jeszcze niż muzykalność i słodycz jego wierszy podnieść należy ich malowniczość. Jeżeli pod względem muzykalności niektórzy oddają raczej palmę pierwszeństwa Tennysonowi, to pod względem kolorytu tylko Morris dopiął takiego mistrzostwa w poezji angielskiej, jakiego Rossetti do-

piał w malarstwie. Co jednak głównie pociąga w poezji Morrisa i nadaje jej charakter zupełnie odrębny, to pogodny fatalizm, pełen melancholii i rzewności. Ponieważ jeden z przyjaciół Morrisa, poeta Swinburne, był także fatalistą, więc najlepiej rys ten zaznamy, przeprowadzając paralelę pomiędzy nimi.

Swinburne przedstawia nam niesłychaną intelektualną niezależność od zwykłych wzruszeń ludzkich. Poezya i przyroda całkiem go pochłaniają. Jego najsilniejsze namiętności to żywiołowe stosunki względem słońca i morza: chciałby się rozpląnąć w świetle drgającym lub w huczącym oceanie. Przypisuje sobie symboliczne pokrewieństwo z „Sun-God'em“ i przybiera nazwisko „Thalassius'a“. Rozumie się, temperament tak żywotny nie mógł zupełnie wyminąć uczuć osobistych: poeta wielokrotnie przebywał cierniową drogą miłości; ale z tych pielgrzymek morze, jego matka, wciąż go napowrót odwołuje. Z entuzjazmem śpiewa lukrecyuszowskie ślepe potęgi, które rządzą światem, nie dbając o ludzkie szczęście lub cierpienia. Znużony, marzy często o spokoju niebytu.

Morris przenosi nas do zupełnie innej strefy wzruszeń. Filozof to również beznadziejny, ale nie tak obojętny na nadzieję. Spragniony jest delikatnych rozkoszy, stanowiących czar życia, ale pogodę jego ducha przesłania wciąż cień niechybnego końca. Jest to przede wszystkim poeta miłości; ale w jego zachwytach jęczy wciąż ta, niepostrzeżona prawie, nuta żalu, iż życie jest tak przelotne, a rozkosz znikoma. Może ten właśnie odcień rozpaczki wzbudza w nim tę namiętną jego miłość, wolności i niczem niepomaganego palenia się w promieniach słońca, — użycia, które chciałby uczynić dostępnym dla wszystkich.

Gdy na dworze zawieja — powiada gdzieś Turgieniew — i gdy znajduję się samotny z psem w pokoju, czuję bardzo wyraźnie nie sympatyj głębokiej, która mnie wiąże z nim, jako istotą żywą. Beznadziejność może przytępić potęgę egoizmu, zbliżyć ku sobie ludzi, którzy czują potrzebę wzajemnego ogrzania się w tym zimnym oceanie niebytu.

W miarę tego, jak ludzie tracić będą swe wierzenia, a energia namiętności zużyje się dzięki naukowemu myśleniu, coraz bardziej uważać będą egoizm za próżny i bez treści. Wówczas rzekną sobie: „Ponieważ nie wiemy nic i nie mamy żadnej nadziei, ponieważ występujemy tylko przez chwilę na jednej z najdrobniejszych planet, która niezgrabnie się obraca koło swej osi po to tylko, aby wnet się pograżyć w otchłań niebytu: więc starajmy się, żeby pozorne to istnienie nie było zbyt bolesnem, urąganiu zimnego chaosu przeciwstawmy miłość gorącą — kochajmy się!“ Beznadziejność może dostarczyć bardziej rzeczywistego węzła duchów, niż wszelkie wierzenia i egoistyczne nadzieje nagrody lub kary.

Morris jest właśnie jednym z przedstawicieli tego stanu ducha.

Jest to czyste źródło, z którego tryskają kryształowe zdroje miłości. Tak wspaniałego zjawiska świat od czasów Shelleya nie widział. I, rzecz godna uwagi, żaden z nich nie łączy tych polotów uczucia z teorią ascetyzmu, lecz, przeciwnie, obaj są gorącymi zwolennikami pogaństwa, tej szalonej uczty życia: tylko „Prometeusz Wyzwolony“ dumnie napawa się zwycięstwem pośród boskich — i jakże szlachetnie nakreślonych! — Oceanid, pewny siebie i nieznający ani żalów, ani zgryzot; u Morrisa zaś mamy

szaloną „Podróż do Cythery“, nie pozbawioną wszakże cichej melancholii, a może i odcienia rozpacz.

Istotnie, jego ideał przyszłości—jak go w „News from Nowhere“ przedstawił—silnie przypomina mi słynny obraz Watteau, znajdujący się w Luwrze. Poeta, jakby przez obawę myśli i jej męczarni, filozofię zupełnie odrzuca, naukę i sztukę spycha na drugi plan, daje zaś nam przyrodę, ćwiczenia na otwartym powietrzu i obfitość rozkosznych kobiet.

„A więc kochajcie, Mesdames, śmiało i bez obawy -- bądźcie uśmiechem, bądźcie muzyką, bądźcie gracyą! Będziemy śmiało odbijali od brzegów życia i pogrążali się w tajemniczą otchłań niebytu, obejmując boską kibić jedną ręką, a potrząsając w drugiej wieńcami z róż!“

Kwestya bytu nie mogła być bardziej czarująco rozstrzygniętą, niż ją Morris rozstrzyga. Niema u niego tej sprzeczności pomiędzy pięknem a moralnością, którą wszyscy zwykle upatrują: poeta łączy je w jednej wyższej syntezie reformy społecznej; jest to jedyna rzeczywiście droga, prowadząca do celu.

Swinburne na tę kwestyę pozostaje zupełnie prawie obojętny. Społeczne jego dążenia wyczerpywały się niegdyś śpiewami na cześć Rzeczypospolitej; zresztą oddał się zupełnie sztuce, która jest całkiem niezależną od losów świata moralnego, a poetycka imaginacya prowadziła go często do stawiania z nim w sprzeczności; do syntezy Morrisowskiej nigdy się nie wzniósł; z obojętnością, z zadowoleniem mówi o przelotności życia. W swym „Garden of Proserpine“ przedstawia głębokie znużenie ludzi, którzy mieli dużo miłości. Jest tu więcej niż zadowolenie, iż się prześpi burze przyszłości. Nie, jest tu głębokie

wyrzeczenie się życia. Fatalizm Morrisa jest bardziej pogodny. Ten skomplikowany, delikatny i czarujący stan duchowy, który odbija w sobie całą złożoność życia współczesnego, stanowi cechę oryginalną Morrisa, nadającą mu w poezji angielskiej stanowisko zupełnie odrębne. Wprawdzie stan ten duchowy doszedł do zupełnego swego wyrazu dopiero w „News from Nowhere“, ale już w dotychczasowych utworach odnajdujemy wszystkie jego czynniki składowe. I „Jazon“, i „Raj Ziemi“, i „Sigurd“ przeniknięte są fatalizmem, ale poprzez jego ołowiane obłoki poeta ukazuje nam oddalony „wiek złoty“ szczęścia, a zarazem czuć daje wiarę i nadzieję powrotu Ludzkości do tych stanów błogości. Poeta przyznaje, iż jego poematy opisują „happy days passed long ago“, czasy gdy świat był młody. Jest w nich ton wdzięcznego żalu z powodu znikomości wszystkiego, co zielone, ale zarazem i głębokiej wiary w trwałość ciągłych odrodzeń.

Ten ton osobisty czyni, iż Morrisa właściwym epikiem nazwać nie można. Epos może być tylko skutkiem świeżego i potężnego życia, jak za czasów Homera lub Chaucera, czego o czasach naszej cywilizacji powiedzieć nie można. I dlatego Morris wyrażał raczej swoje wrażenia z powodu czasów ubiegłych, które opisywał.

Nie był to jeden z tych twórców, którzy pomyślnie swemi „zbogacają krew świata“, ale wśród poetów naszych czasów zajmuje miejsce zaszczytne.

ROZDZIAŁ III.

Jednocześnie z poezją Morris prowadził dalej swą działalność w dziedzinie sztuki dekoracyjnej. Tapety, obicia pod jego ręką i pod ręką jego uczniów doszły do doskonałości niesłychanej. Crane np. przedstawiał „Fale“, „Róże i lilie“, „Ogród pawiów“, „Cztery wiatry“ i t. d. Voysey: „Tulipany“, „Siedem Sióstr“, „Krainę wieszczek“, wykonane pod wpływem sztuki perskiej, również jak i „Morze kwiatów“ lub „Euthymia“ Silvera. Wspomnieć tu także należy Lewisa Day'a i Ingrama Taylora. Wszyscy odznaczają się bogactwem fantazyi, delikatnością rysunku i głęboką znajomością fauny i flory ornamentacyjnej.

Morris, mistrz i twórca tego kierunku, zrazu brał wzory wprost z natury, następnie zwrócił się po nie do Wieków Srednich, i w końcu do Wschodu, ale to raczej do starożytnej Persyi, niż do Japonii, którą uważał za nazbyt zniewieściałą.

Po fajansach emaliowanych, których wykonanie polecał Morganowi, przystąpił do fabrykacji stat-

¹⁾ Aymer Vallance: W. Morris' art and writings. Londyn, 1897.

ków domowych z mosiądzu i miedzi, by w ten sposób odrodzić stronę dekoratywną kuchni — gdyż nie w domu angielskim nie pozostało zdala od jego troski; nie było dlań sfery nazbyt poziomej lub upośledzonej; złoty promień poezyi i sztuki wszędzie powinien był przeniknąć, wszystko ozłocić.

Nareszcie poeta zajął się przemysłem książkowym i dokonał w nim cudów prawdziwych. Założył drukarnię i fabrykę papieru, pracującą tylko dla jego wydawnictw, a ponieważ w tej sprawie, jak i we wszystkich innych, dążył wciąż do doskonałości, więc jego „Kelmscott Press“ uważana jest pod względem estetyki wykonania za pierwszą obecnie drukarnię w świecie.

Papier używany przez nią kosztuje blisko dwieście razy więcej niż zwykły, nosi zaś w filigranie markę M. W., jabłko lub kwiat. Czcionki są specjalnie odlewane według wzorów archaicznych, maszyny przedstawiają szczyt doskonałości technicznej, a drukarze są raczej artystami niż robotnikami. Głównymi wydawnictwami tej drukarni są: „Sigurd the Volsung and the fall of the Niblungs“, „The life and death of Jason“, „The Golden Legend“, „Chaucer's works“, „The end of the glittering plain“ — ilustrowane przez Burne-Jones'a i Waltera Crane'a. Ornamentyka brzegów, marginałów, liter początkowych należy do Morrisa. Dla dekoracji książek i drzeworytnictwa powrócił Morris do ideałów XV i XVI stulecia.

O wspaniałości i smaku wydawnictw powyższych sądzić można z tego, iż jeden egzemplarz dzieła Chaucera kosztuje 500 fr. Wszystkich egzemplarzy było 425. Cała ta działalność Morrisa miała wpływ głęboki na odrodzenie artystyczne kraju. Gdy inni prera-

faelici zwracali się po wzory do *quattrocentistów* włoskich, do Fra Angelica, do Ghirlandaja, do Filippina Lippi, do Lorenza di Credi, do Mantegni, przez co dzieła ich pozostały bez znaczenia prawie dla większych mas, Morris wprowadził także zwrócił się po wzory do przeszłości, ale do przeszłości narodowej, i tam szukał podstaw dla swej reformy artystycznej.

Przed pięćdziesięciu laty sztuka dekoracyjna w Anglii była w zupełnym upadku, tak samo zresztą jak i w całej Europie. Ci co wierzą w bezustanny pochód Ludzkości naprzód, mogą bardzo łatwo się rozezarać, przyjrawszy się dziejom tej sztuki i architektury w naszym wieku. Od czasów przyścia do władzy demokracji nie tylko żaden nowy i oryginalny styl nie pojawił się w tych dwóch dziedzinach, ale, przeciwnie, barbarzyństwo, miernota, banalność sponiewierały wszystkie zabytki piękna pozostawione przez przeszłość¹⁾.

Fabrykacya mechaniczna zastąpiła we wszystkich dziedzinach pracę ręczną. Rzeczy wykonywane dawniej często z zamilowaniem przez rzemieślnika-artystę, który wkładał w nie całą swą duszę, stały się obecnie tandetą maszynową.

Dzisiejsza produkcya bynajmniej nie jest zależna od woli ani inteligencji wykonawców-artystów, lecz zależy całkiem od przemysłowców i kupców, i dlatego stała się brzydką i trywialną. Życie coraz bardziej traciło w pierwszej połowie bieżącego stulecia swą barwność, swój smak artystyczny, w Europie całej, głównie zaś w Anglii, gdzie industrializm najpotężniej się rozwinął.

¹⁾ Jean Lahor: W. Morris et le mouvement nouveau de l'art decoratif. Genève 1897.

Dość wspomnieć pod tym względem te długie ulice, złożone z nieotynkowanych, brudno-czerwonych domów, które czynią Londyn podobnym do olbrzymiego mrowiska. Wnętrze tych domów było przed pięćdziesięciu laty, we wszystkich szczegółach ozdób i umeblowania, nie mniej brzydkie i trywialne. Nawet malarstwo, zgnębione naśladownictwem wzorów klasycznych, francuskich, znajdowało się w zupełnym upadku. Widzieliśmy, w jaki sposób się rozpoczęła reakcyja, jak prerafaelici zaprzysięgli sobie odrodzenie sztuki narodowej, starożytnej, porzuconej i zapomnianej pod wpływami cudzoziemskimi, a przez nią i reformę smaku ludu angielskiego.

I należy przyznać, iż dzięki energicznym wysiłkom, które trwały blisko pół stulecia, dopieł swego celu. Anglia stała się krajem nadzwyczaj dbałym o artyzm, o piękno, wdzięk i elegancję w domu i na ulicy, w życiu prywatnem i publicznem.

Architektura odradza się nie tylko w Londynie, Birminghamie, Manchesterze, Glasgowie, ale w całym królestwie. Wszystkie miasta starają się o stawianie nowych, artystycznych budynków. Odrodzenie architektury narodowej, uwolnienie jej od naleciałości cudzoziemskich, było zadaniem, które wziął na siebie jeden z prerafaelitów, przyjaciel Morrisa, Ph. Webb. Wprowadził on w modę styl królowej Anny (Queen's Anne style) i w ten sposób odtworzył ponownie prawdziwy dom angielski, starożytny, z czerwonych cegieł, zdobnych gdzie niegdzie białymi wstawkami, dom, który jak plama czerwona błyszczy na zieleni gazonów i drzew.

Na temat pierwotny tego stylu ułożono mnóstwo waryacji dzięki staraniom architektów, jak Norman

Shaw, George Peto, Reginald Blomfield, H. G. Cooper, Baillie Scott.

Po stworzeniu domu należało się zająć jego dekoracją wewnętrzną, i pod tym względem wszystko, czego dokonano, należy przedewszystkiem do Morrisa i jego inicjatywy. Magazynów artystycznych, na wzór tego, który on założył, posiada teraz Anglia bez liku, a wszystkie naśladują i przetwarzają wzory przezeń wskazane. Umeblowanie, dekoracja domu angielskiego w zupełności odrodzone zostały, sztuka przeniknęła w życie codzienne, zdobiąc rzeczy najpowszejdniejszego użytku.

Reforma objęła nawet książkę angielską, której ilustracja, oprawa i ornamentyka doszły do szczytu doskonałości; objęła dziennik angielski, nawet afisze.

Afisze, dzięki talentowi Chereta, stały się także przedmiotem opracowania artystycznego. A cóż dopiero mówić o albumach i obrazkach dla dzieci, na które zwrócono jaknajpilniejszą uwagę, by dać odpowiedni pokarm ich oczom i smakowi! Dość powiedzieć, iż taki artysta jak W. Cyane ilustruje dla nich „Opowieści Grimma“, Bajki Ezopa“ i t. d.

Wszystko to odbyło się pod wpływem działalności Morrisa. Pod jego też wpływem utworzyła się słynna szkoła drzeworytników w Birminghamie, do której należą: Arthur Gaskin, C. M. Gere, Ed. New, M. N. Payne, Bernard Pleigh, i panie Gertruda Bradley i Marya Nevil.

Przyznając w ten sposób wielkie znaczenie praktyczne działalności Morrisa dla rozbudzenia smaku artystycznego w Anglii, musimy jednak przyznać, że, jako twórca, nie odkrył on w sztuce żadnych nowych horyzontów; inaczej mówiąc, cała działalność prak-

tyczna Morrisa wydaje nam się niższą od jego wartości wewnętrznej. Z natury swej, wszechstronnej i intuicywnej, był on geniuszem, ale czas i otoczenie nie pozwoliły mu się rozwinąć należycie. Morris i jego towarzysze, gdyby się byli urodzili za burzliwych czasów podobnych do Renaissance'u, wywołaliby rozkwit sztuki nowej, otwierającej nieznane widnokregi. Gdyż bynajmniej nie jesteśmy zdania, iż sztuka powinna żyć tylko przeszłością, powtarzaniem: to tylko w otoczeniu spokojnej demokracji i pod jej naciskiem osobowość preraphaelitów doznała nadwątlenia.

Widząc wokół te domy, które są jak mrowiska, te romanse, które są tylko odbiciem otaczającej płytkości i miernoty, zwrócili się oni ku czasom przeszłym, średniowiecznym, i te odtwarzali. Skrepowana ich indywidualność nie mogła znaleźć drogi nowej.

O tem, że tu działały przyczyny społeczne, najlepiej można się przekonać z rezultatów całego ruchu. Rozpocząwszy od sztuki w wielkim stylu, Morris i preraphaelici skończyli na drobnostkach, na stosowaniu sztuki do przemysłu. Znamy bardzo dobrze i cenimy doniosłość praktyczną tej gałęzi sztuki, ale nie o to nam tu chodzi.

Wskrzeszona przeszłość nie była tematem dość żywotnym, aby mogła pochłonąć ostatecznie i bezpowrotnie siły takiego człowieka jak nasz poeta. A cywilizacja, życie społeczne wywarły i na niego swój wpływ nieunikniony. Rozwój społeczny daleko posunięty tłumi intuicję i siłę twórczą. Poczucie piękna wielkiego powoli się rozplywa w rozczulającej naiwności. Smak zaczyna się lubować, nie w wielkich dziełach, lecz w ciekawych błahostkach, w bogatych obiciach i rozkosznych meblach. Z wiarą w ideał w sztuce

ce dzieje się toż samo, co i z każdą inną: powoli, nieznacznie, niepostrzeżenie porzuca się ją pod wpływem wieku, logiki, doświadczenia. Zapewniając siebie i innych o swych zachwytach dla wzniosłych tworców geniuszu, artyści stają się pomału rozkosznikami, sybarytami, hołdującymi dobrym i łatwym bóstwom. Napełniają domy bogaczy ładnymi błahostkami, barwnymi kobiercami i ciężkimi zasłonami. Na kominkach stawiają brzuchate bózki chińskie lub pagody indyjskie, na stolikach umieszczają brzozy, heban, kość słoniową misternie rzeźbioną, rzadkie porcelany, na ścianach zawieszają miłe obrazki w przepysznych oprawach, które i dla książek zaczynają grać rolę pierwszorzędną.

Taki jest zwykle los sztuki w cywilizacjach wyrefinowanych; tak się stało i tutaj. Od heroicznych tematów malarze i poeci preraphaelizmu przeszli powoli do tkanin o kolorach zwiędłych, do drukowania książek według mody XV stulecia, używając sposobów wcześniejszych od sztuki drukarskiej do wytwarzania eleganckich bibelotów dla bogatej burżuazji.

Wprawdzie Morris długo mamił się nadzieją, iż pracuje dla Narodu Angielskiego wogóle; praktyka z czasem go jednak otrzeźwiła. Prace artystyczne jego zakładu były rozkupywane przez bogaczy i najczystszy rezultat wszystkich tych idealnych dążeń było—przez dziwną ironię losu, która wszelki humanitaryzm naszych czasów stawia w fałszywym oświeceniu, z bogaceniem się samego Morrisa. Na wydaniu jednego tylko Chaucera zarobił on w ciągu niespełna dwóch lat około 40,000 franków.

Zrozumiawszy fałszywość swego położenia, w myśl zasady, która głosi, iż nie wolno prawie biedakom

o ideałach, opływając samemu w dostatkach, postanowił wziąć udział czynny w ruchu społecznym swego czasu. Zrozumiał, iż podnieść estetycznie naród można tylko, podniósłszy go naprzód materyalnie.

Wprawdzie pewien wpływ na rozwój smaku z całego ruchu preraphaelitów musiał pozostać w masach, zwłaszcza, iż założono, za inicjatywą Morrisa, w Londynie stowarzyszenie „Art and Craft Society“, organizujące wystawy peryodyczne utworów sztuki dekoracyjnej—ale jest to kropla w morzu.

To też przeniósł fabrykę swą z Londynu do Merton Abbey (Surrey) i tu zajął się poprawieniem losu zajętych w niej robotników. Maszyny były zupełnie prawie wyłączone z tej fabryki; natomiast Morris wprowadził znowu w użycie nawpół zapomniane rzemiosła przeszłości. Miał on w tem na względzie i robotnika i potrzeby produkcji staranniejszej, doskonalszej. Co do robotników, starał się podnieść ich godność profesjonalną, nie chciał, by pozostawali nadal niewolnikami maszyny, dążył do tego, by przy wytwarzaniu więcej zachowywali inicjatywy osobistej; jako ludzie wolni, mieli pracować, każdy, nad dziełem ukochanem przez siebie.

Chciał wreszcie uwolnić robotnika nie tylko od tyranii maszyny, ale także od tyranii i zapowietrzenia wielkich miast i fabryk miejskich. Dlatego też wybrał dla zakładu swego piękną i zdrową miejscowość Merton Abbey. Jest to fabryka idealna: rodzaj farmy, złożonej z wielkiego budynku jednopiętrowego w otoczeniu strumieni i drzew. Morris starał się o połączenie pracy umysłowej z wysiłkiem masykularnym i wogóle o wskrzeszenie pod tym względem tradycji średniowiecznych.

W tym archaizmie, jakkolwiek kierowanym przez pobudki szlachetne i pięknym estetycznie, jest swoją drogą dużo dziwactwa, a może nawet chorobliwości, jak twierdzi, np., Nordau. Oczywiście rzecz, iż żadne plany reformy społecznej, oparte na wypędzeniu maszyn i obywateli się bez nich, nie mogą mieć znaczenia trwałego. Ta strona jest niewątpliwie dziwaczną w Ruskinie, a także w Morrisie. Trzymając się jej ściśle, odjął on wszelkie prawie znaczenie swym eksperymentom socjologicznym z Merton Abbey. Być może zresztą, iż w taki właśnie sposób musiał postępować ze względów czysto technicznych.

Bądź co bądź, trzeba sobie raz na zawsze powiedzieć: „Niechaj umarli grzebią swe umarłe“. Rzeka historii nigdy nie cofnie się wstecz. Maszyna bynajmniej nie jest w zasadzie czynnikiem tak zgubnym, jak to się Ruskinowi i Morrisowi wydawało. Jest ona może najwyższym świadectwem geniuszu ludzkiego; ale w zastosowaniu jej jest obecnie wiele zła i nadużycia. Jeżeli pokładamy jakiekolwiek nadzieje w przyszłości, to tylko opierając się na maszynach, które z narzędzi wyzysku staną się narzędziami wyzwolenia.

Ostatecznie, w tym archaizmie prerafaelitów jest pewien atawizm marzycieli, niezdolnych reformować rzeczywistości, a raczej uciekających od niej w czasy przebrzmiałe. Przyszłość czerpać będzie czyniki swego życia ze źródeł zupełnie nowych, a powrót do Wieków Średnich pod jakimkolwiek bądź względem może być zjawiskiem tylko chwilowym.

Jeżeli Morris chciał, by sztuka angielska uwolniła się od naśladownictwa i powróciła do źródeł czysto narodowych, to nie nad to żądanie słusznieszego

być nie może, ale, uwolniwszy się od jednej krańcowości, naśladownictwa cudzoziemskiego, wpadł w inną: w imitację niewolniczą Wieków Średnich. Otóż sztuka, czerpiąc u źródeł narodowych, powinna jednak tworzyć formy nowe, snuć na kanwie życia odmiennego od Wieków Średnich, rysunki odrębne od tych, które pozostały w dziedzictwie po przodkach. W tym względzie, może głównie pod naciskiem istniejących warunków społecznych, Morris, również jak i Ruskin, jak i cały zresztą prerafaelizm, nie oryginalnie nowego nie stworzył.

Czyżby przyszłość miała być tak ubogą, iż będzie mogła tylko powtarzać przeszłość; czy też nie zdążyła jeszcze zaznaczyć swych linii wytycznych; czy też mężowie owi nie byli zdolni wyczuć ich i nakreślić? Trudno dać stanowczą odpowiedź na te pytania.

Zmora archaizmu ciążyła też nieubłaganie i na ideałach praktycznych Morrisa. Widząc, iż położenie obecne robotnika jest okropne, marzył o tem, by zamienić go ponownie na rzemieślnika średniowiecznego, zastępując maszynę pracą ręczną. Jest to chimeryczna idealizacja przeszłości, z pominięciem ciemnych jej stron. Poezya tak pojęta, nie jako czynnik twórczy form nowych, lecz jako oglądanie się za czasami przebrzmiałymi, nie daje nam żadnej rękojmi wartości swych ideałów. Bo kto wie czy za jakie tysiąc lat ruiny obecnych kominów fabrycznych, wywołujących tak słuszne złożeczenia Morrisa, nie staną się przedmiotem poezji, a zarazem i westchnień dla przyszłych marzycieli? Nie, przyszłość snuć będzie swe ideały z wątku zupełnie innego, niż Wieki Średnie.

ROZDZIAŁ IV.

W poprzednio rozebranych dziełach Morrisa, zwłaszcza w „Raju Ziemskim“, czuć było pewne zniechęcenie. Można by sądzić, iż to pisze człowiek znużony, rozezarowany, który w estetyce szuka ucieczki od brutalności życia i skłania się ku jakiemuś pesymizmowi beznadziejnemu. Ale zdrowa natura poety wzięła górę, życie samo odkrywało mu nowe czary, mianowicie—w pracy dla bliźnich. W niej znalazł ujęcie dla wewnętrznego niezadowolenia, które się powoli rozwiewa i zanika.

Następuje okres zupełnej pogody, zlekka tylko przyćmionej melancholia, ale to raczej wspomnienia. Dodajmy, iż autor starannie zakrywał swe starcia wewnętrzne, i o ich istnieniu możemy wnosić tylko z ogólnego nastroju jego dzieł. Teraz w pracy społecznej znajduje trwały punkt oparcia; nowa wiara zastępuje pesymizm lat poprzednich, wprowadza w duszę spokój, a w myśli zupełną jasność.

Od tego czasu Morris dokładnie wie czego chce: ma przed sobą cel realny, który za życia jednostki urzeczywistniony być nie może, a ten cel pochłania całą jego energię. Okres „czystej sztuki“ trwał w jego życiu

do roku 1883, a przynajmniej nowy kierunek jego myśli wcześniej się nie objawił. Uważano go powszechnie za oddanego całkiem kultowi piękna, a jego opinie polityczne miały być czysto liberalne. Z tego względu wszyscy spoglądali nań jako na prawdopodobnego następcę Tennysona na urzędzie poety-laureata. Toteż wszyscy byli zadziwieni w najwyższym stopniu, gdy w r. 1883 Morris wstąpił jako członek do partii robotniczej t. zw. „socyjalno-demokratycznej federacji“, mającej Hyndmana za wodza i wyznającej zasady marksizmu.

Był to jednak tylko przejaw zewnętrzny długiej ewolucji wewnętrznej, która powoli w Morrisie się dokonywała. Mówiliśmy już, że miał on w naturze coś apostołsko-mystycznego, co mu kazało zawsze szukać jakiejś wiary i jakiejś pracy dla bliźnich. Wiare tę znalazł z początku w religii piękna, pracę—w chęci uczynienia sztuki dostępną dla wszystkich, bodaj najuboższych, przez zastosowanie jej do przemysłu. Praktyka jednak z czasem przekonała go o chimeryczności tego celu: pracował w istocie rzeczy dla ludzi zamożnych i bogatych.

Jednocześnie fabryka, którą założył, wprowadziła go w stosunki z robotnikami, i z konieczności musiał się zajmować ich położeniem. I w ten sposób jego chęć zreformowania sztuki dekoracyjnej musiała z czasem przerodzić się w dążenie do reform głębszych, społecznych; przekonał się bowiem, iż bez tych ostatnich i sama sztuka zbawiennych swych wpływów na większe masy ludności wywrzeć nie zdoła.

Właściwie mówiąc, prerafaelizm, który był przewrotem ideowym w sztuce, musiał z czasem dojść do

żądania reform społecznych, albowiem jego ideały artystyczne w obecnem społeczeństwie urzeczywistnione być nie mogły. Był on właśnie reakcją przeciw temu upadkowi, który w pierwszej połowie naszego wieku dał się zauważyć w sztuce, wskutek tego, iż stała się ona przywilejem ludzi bogatych. Odrodzić ją można było, tylko wprowadziwszy w zetknięcie z większymi masami ludności. Otoż masy te przez położenie swe ekonomiczne od wszelkich stosunków ze sztuką były odgródzone. Oczywista rzecz, iż, chcąc urzeczywistnić ideały preraphaelizmu, należało naprzód zreformować społeczeństwo. Był to rezultat, do którego sama logika faktów wszystkich prawie czynnych tu artystów doprowadziła: zarówno Ruskina, jak i Morrisa, jak i wielu innych. Morris otwarcie wyznaje¹⁾, iż, stawszy się rzecznikiem reform społecznych, uogólnił tylko tezę swą ulubioną, którą oddawna wyznawał, iż „sztuka wyradza się w naszym społeczeństwie przemysłowem“.

„Nie chcę — powiada²⁾ — „sztuki dla kilku wybranych, ani wychowania, ani wolności dla niewielu. Nie, raczej niż widzieć sztukę żyjącą dla uciechy uprzywilejowanych, gardzących tymi, co stoją niżej, za niewiadomość i brak smaku, za które nie są odpowiedzialni, wołałbym, aby świat zmiotł na pewien czas wszelką sztukę; raczej niż wiedzieć jak zboże gnieje w stodołach bez pożytku, wołałbym, aby było w ziemi, gdzie posiadałoby przynajmniej możność późniejszego rozwoju“. Zarazem wymaga koniecznie, aby sztuka miała charakter społeczny. „Żadna rzecz nie

¹⁾ Hopes and fears for Art.

²⁾ Ibid.

może być dziełem sztuki — powiada — jeżeli nie jest użyteczną, albo, jeżeli nie dostarcza umysłowi w warunkach zdrowych rozrywki, spokoju lub podniosłości. Jest rzeczą pierwszej wagi, aby ozdoby w naszych domach odpowiadały, nie potrzebom parady i ostentacyi (jak to się obecnie dzieje), lecz — zadowolenia zmysłów i rozkoszy intelektualnych“.

Położenie sztuki w obecnem społeczeństwie Morris uważa za nienormalne, a wpływ jej na większe masy za zwodniczy, i raczej zgubny, niż zbawienny. Przedstawia on to jej położenie swym malowniczym językiem w sposób następujący:

„W jednym ze swych opowiadań Edgar Allen Poe przedstawia położenie drobnej grupy majtków, ginących na rozbitym statku. Są oni ofiarą wściekłego głodu — gdy naraz widok okrętu, który zdala do nich się zbliża, napędza ich niewymowną radością. W miarę tego jednak jak okręt jest coraz bliższym, zdaje się jakby był kierowany w sposób dziwny i sprzeczny z zasadami marynarki; chwilami rzecz-by można, iż nikt nim nie steruje. Ale oto jeszcze bardziej się zbliża, i radość rozbitków jest nazbyt żywa, by mogli zwracać uwagę na anomalie jego ruchu. Wreszcie mogą rozróżniać majtków, a zwłaszcza jednego, który jakby spoglądał na nich z głęboką ciekawością. Daje on im znaki głową, jakby chciał ich skłonić do cierpliwości, i uśmiecha się wciąż do nich, pokazując wszystkie swe zęby — niesłychanej białości. Jest widocznie niespokojny o los zgłodzonych marynarzy, gdyż nie zwraca żadnej uwagi na to, iż czapka czerwona, którą miał na głowie spadła do wody.

„Ale naraz, gdy okręt jest jeszcze bliższym rozbitków i serce ich skacze z radości na myśl o szyb-

kiem wyzwoleniu, straszny i niepojęty fetor dobiega do nich i widzą — o, nędzo, o, ohydro! — iż okręt ten jest okrętem umarłych.

„Człowiek, który się pochylał, jest osuwającym się trupem, jego czapka — kawałem skóry, którą ptak morski zeń zerwał; jego uśmiech zapraszający — wywołany był widokiem obnażonych szczęk, które nadawały zębom wyraz nieustannego szyderstwa. I tak przepłynął okręt umarłych, oddalając się w ocean bezmierny i pozostawiając biednych rozbitków ich rozpacz¹⁾).

Istotnie, sztuka obecna, wytwór nawpół umarłych klas wyższych, takie właśnie zwodnicze wrażenia i często takież wpływ zatruty wywiera na masy spragnione ideału. Zresztą Morris roztacza to porównanie nie tylko na sztukę, ale wogóle na cywilizację współczesną.

„Okręt umarłych jest wizerunkiem cywilizacji naszej epoki. Widma, które na nim się ślaniają, pochylając głowę na znak zachęcającej otuchy, są rezultatem śmierci i rozkładu i przedstawiają sztukę i filozofię, tak wychwalaną, bogaczy i klas wydelikacjonowanych naszego społeczeństwa“.

Kult piękna i sztuka stanowią część składową wszystkich programów społecznych Morrisa. Podzielając pod tym względem zdanie Ruskina — którego wpływ na każdym kroku w dziełach jego odnaleźć można — sądzi, iż zreorganizować społeczeństwo należy głównie dla wskrzeszenia piękna, powoli w niem zanikającego.

¹⁾ W. Morris and B. Bax: Society, its growth and its outcome.

W przyszym pokoleniu kult piękna będzie wszechpotężny, sztuka spręgnie się nierozdzielnie z życiem we wszystkich jego przejawach. „Architektura — powiada — stanie się z konieczności sztuką *par excellence* w społeczeństwie, gdzie wysiłki wszystkich będą połączone i gdzie wielkie budowle będą przeważały.. Rzeźba będzie uważana jako część składowa każdego pięknego domu, i na dzieła sztuki pozamienia budynki mające obecnie charakter czysto utylitarny. Nawet malarstwo wejdzie w użycie powszechne, dla zdobienia gmachów publicznych.

„To, że społeczeństwo będzie uwolnione od wojen chronicznych, bądź ogólnych, bądź miejscowych, przyczyni się potężnie do należytego rozwoju kultu sztuki.

„Literatura porzuci rodzaj powieściowy, dziś tak ulubiony dzięki nierównościom i anomalii naszego społeczeństwa. Istotnie, myśl fałszywa i konwencjonalna o obowiązku, dziś panująca, z której wyrosła intryga, ta podstawa wszelkiego romansu, myśl ta niechybnie zaginie. Literatura jednak bynajmniej nie zaniknie i nie możemy wcale przewidzieć obecnie, do jakiego rozwoju dojdzie wielka sztuka poezji.

„Muzyka rozwinie się w nowym ustroju społecznym, w kierunkach zupełnie nowych, również jak i inne gałęzie sztuki... Jesteśmy nawet przekonani, że muzyka i architektura, pojęte w znaczeniu jaknajobszerniejszem, stanowić będą zajęcie najpoważniejsze znacznej większości obywateli“¹⁾.

Morris przenosi swe gusta średniowieczne w przy-

¹⁾ W. Morris and Belfort Bax l. c.

szle społeczeństwo do tego stopnia, iż przedstawia je sobie, jako piękną, pełną harmonii katedrę:

„Za to, że się tak wyczerpuję w pracy nad rzeczami obecnymi, często wynagrodzony jestem marzeniem przyjemnem i samorzutnem. Jest to sen czysto architektoniczny. Wydaje mi się, iż widzę budynek piękny i szlachetny, jakby specjalnie dla mego marzenia wystawiony. Widzę go tak jasno, jakgdybym był na jawie, widzę nie bezmyślnym i nieokreślonym, jak to się zwykle dzieje we śnie, ale we wszystkich szczegółach proporcjonalnym i pełnym harmonii“¹⁾. W tem marzeniu Morrisa o przyszłym społeczeństwie piękno łączy się z dobrobytem, równością i wolnością.

„Społeczeństwo to — powiada — powinno się opierać na równości praktycznej warunków; „praktycznej“ — znaczy zastosowanej do zdolności i smaków członków. Taką jest podstawa ekonomiczna przyszłego społeczeństwa. Jego podstawa moralna — to świadomość nabyta przez człowieka wskutek przyzwyczajenia, iż jest istotą społeczną, dzięki czemu nie może czynić różnicy między dobrem ogólnem i osobistem.

„Niema — dodaje autor — żadnej innej podstawy ekonomicznej i moralnej, na której można byłoby oprzeć społeczeństwo prawdziwe, poza tą, którą powyżej wskazałem. Każda inna podstawa pociągnie za sobą roztrwonienie bogactw i niepotrzebne cierpienia“²⁾.

Przed tym okresem ostatecznym zupełnej równości, w mniemaniu autora, nastanie okres przej-

¹⁾ A Dream of J. Ball (J. Ball był to ksiądz demokrata z XIV st.).

²⁾ W. Morris: Why I am etc.

ściowy „gdy środki wymiany i produkcji znajdą się w ręku tych, co ich potrzebować będą, t. j. w rękach pracowników; gdy wielkie kapitały zanikną, stawszy się niemożliwymi, albowiem pieniądz straci swe przywileje; gdy wreszcie wszyscy korzystać będą z równych środków dla dopięcia celów. Okres ten przejściowy rozplynie się niepostrzeżenie w zupełnej równości, bez żadnych wstrząśnień gwałtownych“.

Morris marzy w ostatecznym rezultacie o federacji niezależnych okręgów, z których każdy zaspakaja potrzeby swych członków, wymagając od nich tylko pracy według sił i zdolności dla wytworzenia wspólnego dobra. „Zresztą, jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, iż każdy członek będzie zupełnie swobodny w rozporządzaniu swą częścią dóbr, i że nie dozna w tem żadnej przeszkody, dopóki czynić z niej będzie tylko użytek osobisty, a nie robi z niej narzędzia wyzysku.

„Przy równości położenia ludzie różnią się jednak stopniem zdolności i skłonnościami. Współzawodnictwo w dążeniu do dobra powszechnego zastąpi wolną konkurencyę... Gdy ludzie uwolnią się od obawy wzajemnej, która ich rozdziela i którą wytwarza nasz system sztucznego głodu, zrozumieją, iż najlepszym sposobem podziału będzie pozwolić brać każdemu, czego mu potrzeba, gdyż nikt nie będzie miał ani pokusy, ani możliwości wzięcia części większej, niż ta, która mu jest rzeczywiście potrzebna“¹⁾.

Z takimi poglądami Morris nie mógł długo po-
być wśród marksistów angielskich, zwłaszcza, że ich

¹⁾ True and false Society p. 19.

taktyka wcale mu się nie podobala. Nie lubił też ich nieprzejednanej ciasnoty poglądów. To też w r. 1885 wystąpił z ich federacyi i utworzył wraz z kilku przyjaciółmi Ligę niezależną, złożoną z czynników najrozmaitszych a niesfornych. Niesnaski wkrótce wybuchnęły, i w roku 1889 Liga zaczęła się rozkładać; w r. 1893 zupełnie zamkniętą została, a wraz z nią i pismo Morrisa „The Commonwealth“ (Dobro powszechne), które rozwijało myśli wyżej przedstawione.

Ogarnięty jednak nieprzepartą potrzebą twórczości, Morris nie dał za wygraną: dla zaspokojenia gorączki działalności musiał koniecznie wziąć udział czynny w życiu. Nie dość mu było panować w świecie idei: chciał jeszcze materyalnie te idee wcielić. To też po zwinięciu Ligi założył w Hammersmith'ie inne towarzystwo i w dalszym ciągu rozwijał swe myśli.

Morris coraz wyraźniej zaznaczał czysto ewolucyjny charakter swych teorii: był on wrogiem wszelkich gwałtów, wszelkich katastrof i rewolucyi, starannie także oddzielał się od anarchistów, których stanowisko zupełnie potępiał.

Sądził, iż rozwój spokojny i buletyn wyborczy w zupełności wystarczą do urzeczywistnienia jego ideałów. Droga ta, czysto legalna, polegająca jedynie na udziale w wyborach, którą Morris pod koniec życia wskazywał, wywołała mocne zadziwienie, albowiem dawniej satyry pisał na walki parlamentarne, nie wierząc bynajmniej, by z nich cokolwiek dobrego dla ludu wyjść mogło.

Logika faktów doprowadziła go jednak w końcu do tego: ponieważ siła bratalna była mu wstrętną,

więc jedynym narzędziem reform okazał się parlament.

Rzecz ciekawa, iż Morris w dziele historycznym, które już wspominaliśmy, napisanem wraz z Belfortem Baxem, nazywa swój program i swe poglądy „naukowemi“, przeciwstawiając je „utopiom“ Owenów, Fourierów, St. Simónów, które lekceważy. I gdzie też ta miłość własna się nie gnieździ!

Naukowemi, rozumie się, poglądów Morrisa w żaden sposób nazwać nie można. Mają one, co najwyżej, pewne znaczenie estetyczne, jako piękna sielanka; mają także pewną doniosłość praktyczną: ideałów, wskazówek, które na bieg życia wywrzeć mogą pewien wpływ. Jest to znaczenie dość doniosłe, byśmy mogli skwitować Morrisa z wszelkich uroszczeń naukowych.

Zapytywano się często: jakie powody skłoniły go do wstąpienia na drogę agitacyi społecznej?

W młodości, w uniwersytecie, był zwolennikiem arystokratycznych teorii Carlyle'a i wraz z nim przenosił siłę, o ile ona się wciela w jednostkach wybitnych, ponad prawo; potem był umiarkowanym liberałem; jego zwrot do radykalizmu był więc trudny do wytłómaczenia. Przypuszczano, iż może Morris, czując się wyczerpanym w twórczości poetyckiej, rzucił się na drogę działalności praktycznej, by w ten sposób ożywić zachodzącą swą sławę.

Jest to jednak tłómaczenie zupełnie dowolne, gdyż jego „Śpiewy“, poświęcone sprawie, której służył, a głównie jego „Wieści z Nikąd“, pisane w ostatnich latach życia, bynajmniej upadku talentu nie wskazują, i owszem, są to może najoryginalniejsze jego utwory. Istotnych przyczyn zwrotu należy szukać w warunkach życia, które już wskazaliś-

my, a głównie w wewnętrznej logice tego charakteru. Jak słusznie Emerson powiada, „człowiek może być posłuszny tylko swej własnej naturze“. Każde życie musi koniecznie krążyć koło pewnego punktu centralnego, zawartego w charakterze. I Morris z pod tego prawa żelaznego się nie wyłamał. Miał w sobie coś z apostoła — a życie nie stanęło przeszkodą, i owszem, pomogło przejawieniu się tej strony jego natury.

Pozostaje nam jeszcze zastanowić się nad wspomnianymi „Śpiewami“ Morrisa i „Wieściami“ (*News from Nowhere*). Pierwsze są zbiorem ód natchnionych i dytyrambów na tematy znane. By dać pojęcie o polotach tych natchnień proroczych, pozwolę sobie przetłumaczyć jeden z ustępów:

„Przyjdźcie tu, przyjaciele, i słuchajcie, gdyż chcę wam opowiedzieć historię — cudów przyszłości, gdy rzecz każda osiągnie doskonałość dawniej nieznaną. Jest to historia kraju, skapanego morzem, który ludy zwać będą Anglią. — A słońce dni tych, które mają dopiero nastąpić, wzniesie się wkrótce; wówczas już nie jeden wybrany z całych tysięcy czekać będzie dnia jutrzejszego ze spokojem i radością u ogniska domowego; wówczas — nie śmiejecie się, lecz przychylcie ucha do dziwnej wieści, którą głoszę — lud angielski mieszkać już nie będzie w norach zwierzęcych; wówczas każdy będzie mógł pracować, myśleć i cieszyć się pracą rąk swych. Nikt wówczas wracać już nie będzie do ogniska domowego nocą, tak znużony i słaby, by nie mógł się utrzymać na nogach. Wówczas — o, wieści niesłychana — nikt nie będzie się czuł szczęśliwym z cudzego upadku i nieszczęścia, gdyż każdy otrzyma owoce swej pracy, i człowiek, co nie siał, cudzego żniwa zbierać nie będzie. — Nikt już wzdychać nie

będzie do bogactwa, które gnie do nóg naszych niewolników, zwanych naszymi przyjaciółmi. — Wówczas nauka wynalazców, i geniusz poetów, i cuda wychodzące z pod ręki malarza, i dźwięki czarodziejskie, które smyczek ze skrzypiec dobywa, i chóry śpiewaków — wszystko to będzie przedmiotem zachwytu, dostępnym dla wszystkich. — Czegoż więc czekamy, czego się wahamy, gdy bracia nasi padają i giną od pracy, przechodzącej ich siły, ofiary gorzkiego smutku? — Synowie matki potężnej, oni, chluba Anglii, przeszli, nikt na to nie poradzi, nikt nie zdoła oczyścić naszych dusz od ich przekleństwa. — Ale oto miliony nowych ludzi następują; los ich będzie lepszym czy gorszym? Idźmy więc, porzuciwszy wszelkie drobnostki i łatwy spokój; gdyż sprawa cierpiących jest jedyną godną nas sprawą. Idźmy, oh, idźmy, zapominając o wszystkim innem, gdyż jutrujenka dni lepszych już się wznosi“.

ROZDZIAŁ V.

Morris nazwał romans swój „Wieści z Nikąd“ utopią; sądził jednak, iż jest to utopia możliwa do urzeczywistnienia; wskazuje nawet drogę, jaką mogłaby być wprowadzona w życie. Za powód bezpośredni do napisania romansu posłużyła mu znana książka amerykańskiego Bellamiego „Looking Backward“, przetłómaczona na wszystkie języki europejskie i ciesząca się dotychczas dużym powodzeniem.

Sprytny Yankee wymyślił, jak wiadomo, społeczeństwo, które nie wiele się różni od obecnego: ideałem jest w nim zaspokojenie potrzeb powszechnie przyjętych przeciętnego mieszczanina, drogą produkcji zmechanizowanej w najwyższym stopniu. Jest to społeczeństwo czysto utylitarne, maszyna stanowi główną jego dźwignię, ale ta maszyna służy już nietylko zyskowi jednostek, lecz dobru powszechnemu.

Morris w powieści swej wychodzi z zupełnie innego punktu widzenia, jakkolwiek i on, wraz z Bellamim, wyznaje, iż interes społeczny powinien przeważać nad jednostkowym w przyszłym ustroju. Ale pod każdym innym względem co za różnica! Morris w zupełności odbiega od wzorów istniejących życia

obecnego. Jest to rozkoszne marzycielstwo w wielkim stylu. Związek społeczny nie powinien się opierać na wymianie usług. Podstawa utylitarna powinna być zamieniona na inną, estetyczną. Potrzeby zmysłowe, grube, uproszczone będą i sprowadzone do nieznacznych rozmiarów, natomiast potrzeby estetyczne zajmą pierwsze miejsce. Minimum pracy utylitarnej i maximum estetycznej — taki jest ideał Morrisa. Człowiek poświęcać będzie swój czas użyciu, potrzebie tworzenia, tworzeniu nie dla zysku, nie dla pożytku, lecz dla zaspokojenia namiętności twórczej. Stosunek obecny producenta do spożywcy zamieni się na inny: artyści do znawcy.

Ludzie starać się będą, nie o to, aby być pożytecznymi jedni drugim przez wymianę usług, lecz o to, aby oczarowywać się wzajemnie. Miasta w znaczeniu obecnym znikną; będą ogniskami smaku i stylu, muzeami zatopionymi w potokach zieleni, o pałacach odległych od siebie, ze ścianami płaskorzeźb cudownych, — nieśmiertelnych fantazyi, wyłonionych przez pokolenia całe wędrownych artystów.

Czyż to wszystko ma cokolwiek wspólnego z tą zmurą koszarową lub klasztorną, którą niektórzy straszą dorosłe dzieci? Nie trzeba jednak się łudzić: urzeczywistnienie wszystkich tych marzeń wymagałoby gruntownego przekształcenia natury ludzkiej, aby uwielbienie zajęło miejsce zawiści, sympatya — złości. Miłość jest słońcem centralnem, które tu wszystko w ruch wprawia. Wszystkie inne uczucia powoli, w mniemaniu Morrisa, tracą swą moc. Zamiast przywiązania do kraju jest tu przywiązanie do wszystkiego, co wielkie i piękne w przyrodzie — co najwyżej, przywiązanie do groty, w której urodziliśmy się. Dzie-

ci rosnać będą w lasach, jak cyganięta lub dzikie jelonki.

Ta rozkoszna filozofia nie jest pozbawiona pewnych odcieni smutku: ślad epoki „Raju Ziemskiego“; ale czyż piękno bez smutku jest wogóle możliwe? Inni marzyciele przyszłości mieli nieostrożność wypuszczenia tego czynnika, i stali się trywialnymi. Sprawia to zarazem, iż sny Morrisa odrazu rozpoznać można. W „Looking Backward“ ideały modelowane są na życiu miejskiem naszych czasów, w „News from Nowhere“ — na wiejskiem z Wieków Średnich. U Bellamiego praca jest przymusem, w takim stopniu, iż po czterdziestym piątym roku życia każdy od niej zwolniony zostaje; u Morrisa — jest ona dobrowolną przyjemnością. Okropne współczesne widmo pracy znika dzięki połączeniu ze sztuką i ciągłemu obcowaniu z piękną, żywą naturą otaczającą.

Zauważmy, iż Morris prawie zupełnie zwalnia kobietę od pracy pozadomowej, sądząc, iż z ustaniem walki konkurencyjnej współczesne uroszczenia kobiety do emancypacji tracą wszelki sens. Odezwał się tu w działaczu społecznym poeta Wieków Średnich, który drży o losy miłości i o całą gamę wrażeń uroczych z nią związanych. Ponieważ „Wieści z Nikąd“ ogniskują wszystkie promienie talentu Morrisa i wszystkie jego ideały społeczne, przedstawiając najoryginalniejsze dzieło poety, zastanowimy się nad niemi szczegółowiej. Dziwna rzecz jak trudno jest oderwać się od przyjętych form życia i wyobrazić sobie stosunki odmienne od obecnych! W abstrakcyi myśliciele czynią to na każdym kroku, ale form konkretnych świat nowy w fantazyi żadnego artysty jeszcze nie przybrał. Probowali różni Yankees, jak Bellamy — i z wielkiem

powodzeniem — ale wytwory ich są ordynarne, tandetne, przynoszą więcej szkody niż korzyści sprawie, której służą. W ich idealnem społeczeństwie dla ludzi bardziej delikatnych niema miejsca, gdyż wolą oni zdychać z głodu na swobodzie, niż chodzić w zlocie pod przymusem. Przytem nasze dążenia i tęsknoty duchowe do nieznanych krajów tak mało co mają wspólnego z tym panamerykanizmem pełnego brzucha! Nareszcie — i to jest największem niebezpieczeństwem tego rodzaju fantazyi — nie starają się one o wytworzenie sobie odrębnego stylu artystycznego; jest to najmniejsza ich troska — i w ten sposób muszą mimowolnie zająć miejsce pomiędzy kwakryzmem i Armią Zbawienia.

Złem jest to, iż prawdziwi poeci miewają zwykłe zbyt poziome loty, i skrzydła w danym razie zmuszeni są przypinać ludzkie z wyobraźnią i uczuciowością sklepikarzy, albo też nieszczęśni pożeracze książek, kompilujący bez ustanku i końca.

Morris jednak należy do szeregu istotnych poetów, którym świat odrębny może wyskoczyć z mózgu, jak Minerwa z głowy Jowisza. Takich ludzi sny nawet są ciekawe. Otoż śniło mu się na krótko przed śmiercią, iż pewnego pięknego poranku zbudził się w Londynie z XXI stulecia, zmienionym nie do poznania. Fabryki i kominy poznikały; małe, w stylu średniowiecznym, domki rozsiane były po obu brzegach Tamizy w ogrodzie bez końca, a rozkoszne dywany kwiatów posyłały wonne swe fale nad pomarszczoną wodę. Poza domami wznosiły się potężne drzewa i tak gęste, iż cała rzeka wyglądała jak wielkie jezioro, otoczone świeżemi ścianami lasów. Poeta siada do łodzi, aby się przejechać po kryształach wód.

William Morris.

Przewoźnik okazuje się człowiekiem inteligentnym, ukształconym i zarazem artystą, w odzieży nader malowniczej, jaką tylko widzieć można na obrazach z XIV stulecia. Wyglądał raczej na młodego gentlemiana, który się oddaje sportowi, niż na przewoźnika. Gdy po skończonej wycieczce nasz poeta ofiaruje mu pieniądze, przewoźnik uśmiecha się pobłażliwie i poleca oddać monetę do muzeum, które takie blaszki złote, srebrne, i nawet miedziane, chętnie przechowuje, żadnego innego znaczenia one wszakże już nie posiadają.

„Przewiozę chętnie każdego, gdyż jest to moje zajęcie“ — dodał i roześmiał się wesoło, jakgdyby sama myśl o przyjęciu zapłaty za pracę wydała mu się nader pocieszną.

„Zapytywałem się — mówi poeta — czy ten człowiek, pomimo kwitnącego wyglądu, niema czasem pomieszanego zmysłów, i ze względu, iż znajdowaliśmy się jeszcze na rzece, pocieszałem się tem, iż umiem dobrze pływać“. Przewoźnik jednak przerwał mu dumania:

„Widzę — rzekł — iż jesteś Pan obcym i przybywasz z kraju, który całkiem do naszego nie jest podobny. Byłoby więc do życzenia, byś Pan zapoznał się z urządzeniami naszego kraju powoli, a nie od jednego razu. Byłbym też Panu nader obowiązany, gdybyś chciał obrać mnie na przewodnika po nowym świecie, ponieważ przypadek Pana na mnie naprowadził. Uważałbym to za wielką grzeczność z Pańskiej strony, gdyż każdy inny z przyjemnością wzięłby na siebie ten obowiązek, a mógłbyś Pan może lepszego ode mnie przewodnika znaleźć“.

Chętnie przyjąłbym propozycją Pańską — odparł poeta, jeszcze nie zupełnie spokojny co do zdrowia umysłowego swego interlokutora — gdybyś Pan po-

zwolił zapłacić sobie — chciał dodać, ale wolał powiedzieć: „gdybym się nie obawiał, iż odrywam Pana od jego pracy lub przyjemności“.

„Co do tego możesz Pan być spokojnym — odparł. I owszem, sprawię jednemu z mych przyjaciół, który chce zastąpić mnie w pracy, wielką przyjemność. Jest to tkacz z Yorkshiru, który jednocześnie zajmuje się matematyką. Zapracował się zupełnie i zwrócił się do mnie z prośbą o zajęcie na wolnem powietrzu. Co do mnie, to zaprosiłem się do przyjaciół na żniwa; mógłbyś Pan mi towarzyszyć. Poznasz Pan bardzo przyjemnych ludzi, a zarazem po drodze do Oxfordshiru poczynim najrozmaitsze spostrzeżenia. Jeżeli wogóle chcesz Pan poznać nasz kraj, trudno o lepszą okazję“.

Poeta zgodził się i podziękował. Towarzysz jego wyjął z za pasa róg srebrny i zatrałił kilkakrotnie. Na umówiony ten znak z sąsiedniego domu pokazał się młodzieniec niemniej malowniczo odziany, który był właśnie owym matematykiem. Poeta z przyjemnością przekonał się nareszcie, iż nie ma do czynienia z waryatami, gdyż przyjaciele rozmawiali nader rozsądnie i logicznie.

„No, i cóż — zawołał nowoprzybyły — czy otrzymam dziś moją pracę, a raczej twoją? Śniło mi się całą noc, iż jestem już na łodzi“.

„Dobrze — odrzekł przewoźnik — zajmij moje miejsce, a gdy ci się sprzykrzy, zwróć się do Jerzego Hellinga: on cię zastąpi. Ten obcy pan okazuje mi honor obrania mnie za przewodnika do obejrzenia naszej okolicy i, jak rozumiesz, nie opuszcze tej pięknej sposobności. A ty siadaj wprost na mą łódź.“

Matematyk nie posiadał się z radości, iż będzie mógł objąć ster łodzi i przewozić wszystkich, którzy

tęgo zechcą. Pod piórem Morrisa obraz ten nie jest bynajmniej chimera: taż sama ręka, co pisała „Raj ziemski“, bardzo często zajmowała się farbowaniem tkanin, lub inną pracą fizyczną.

Matematyk, Robert, jakkolwiek słabszy i delikatniejszy od swego przyjaciela, tkacza Ryszarda pysznie wygląda na łodzi w niebieskiej odzieży, także średniowiecznego kroju, z wyszytą na piersi srebrną, gałęzią,—ściągnięty pasem ze złotego filigranu.

Przed rozstaniem się Robert zaprasza ich do sąsiedniego hotelu na śniadanie. Była to piękna budowla, pełna smaku, otoczona zielenią. Przekroczywszy próg, znaleźli się w halli, o marmurowej, wyłożonej mozaiką podłodze. Ściany pokryte były radosnymi freskami, meble—w stylu dobranym. Nowoprzybyłych spotkały trzy młode kobiety. Były skromnie okryte odzieżą, która przypominała po części powłóczyście szaty klasycznej starożytności, po części zaś ubiór czternastego stulecia, nie będąc jednak zwykłym naśladownictwem. Tkaniny, odpowiednio do pory roku, były lekkie i jasne. Spoglądać na te kobiety było prawdziwą rozkoszą: takim weselem i szczęściem jaśniały ich oblicza, tak wdzięczne, silne i zdrowe były ich postacie. Ładnymi były wszystkie trzy, jedna zaś — nawet piękną, o czystych rysach klasycznych. Spotkały gości wesoło i bez żadnej obłudnej wstydlivosti podały im ręce; tylko z ukrytą ciekawością spoglądały na odzież poety, który wyznaje, iż nigdy nie umiał z elegancją się ubierać. Po kilku słowach Roberta oddaliły się na chwilę, by poczynić przygotowania do posiłku. Wkrótce stół został nakryty, zastawiony kwiatami i naczyniami, pełnymi poziomek, mleka i smacznego chleba, w najrozmaitszych gatun-

kach, nie wyłączając razowca, który poeta najbardziej lubił.

Na zapytanie towarzyszków: jak mają go nazywać? — nowoprzybyły odpowiada: „Nazywajcie mnie wprost Williamem“, by pokazać w ten sposób, iż do nazwiska nie przywiązuje żadnej wagi. Matematyk jednak po pewnym namyśle zwraca się doń z ponownym zapytaniem: skąd przybywa i ile ma lat? „Proszę mi nie brać za złe mej ciekawości—dodał — opiera się ona na podstawach naukowych“.

Ryszard i młode kobiety, wszyscy parsknęli śmiechem serdecznym, rozumiejąc, iż postępowanie Roberta jest skutkiem zbytniego nateżenia umysłu. Uniewinniając go tem, Ryszard zawołał: „No, dajże już spokój! Nie należy znowu tak się wypytywać gości. Zbytnią uczoność na nie ci się nie przyda. Istotnie, wielki już czas, byś przystąpił do pracy na wolnem powietrzu; uwolnimy się od niepotrzebnej pajęczyny, którą mógł twój tka bezustannie“.

Uczony dobrodusznie się rozśmiał i jedna z młodych kobiet, gładząc go po twarzy, rzekła z uśmiechem:

„Biedny chłopiec! Taki on już jest“.

Poeta czuł się rozpromienionym w tej atmosferze swobody i naturalności; wyraził zarazem jaknajętniejszą gotowość zadośćuczynienia ciekawości Roberta. Gdy oświadczył, iż ma lat z górą pięćdziesiąt sześć, wszyscy obecni nie mogli powstrzymać okrzyku zadziwienia. Oświadczone mu, iż wygląda tak, jakby miał co najmniej lat osiemdziesiąt.

Gdy panie oddaliły się do swych zajęć, William zwrócił się do Roberta z zapytaniem o warunki, w ja-

kich znajduje się przemysł tkacki w nowem społeczeństwie.

„Obawiam się, iż niewiele potrafię Panu w tej kwestyi powiedzieć — odparł zapytany — gdyż jestem, właściwie mówiąc, tylko zwykłym rzemieślnikiem. Oprócz tkactwa zajmuję się jeszcze drukarstwem. Ale druk maszynowy wychodzi z użycia, gdyż i sama męka robienia książek już się znajduje na łożu śmierci. Musiałem więc zwrócić się do innych zajęć, odpowiednich memu smakowi, i zdecydowałem się na matematykę. Piszę także dzieło historyczne o życiu prywatnem w końcu XIX stulecia... Ale o tem pomówimy później, jeżeli przyjaciel mój Ryszard nie przeciw temu mieć nie będzie. Uważa mnie on za niespokojną głowę, i nie ma wielkiego o mnie mniemania, gdyż nie bardzo jestem biegły w pracach ręcznych — tak zresztą oni wszyscy w naszych czasach się zapatrują. O ile mogę wnioskować z literatury XIX stulecia — a czytam bardzo wiele — to głupota tamtych czasów teraz w ten sposób się mści, gdyż oni wówczas mało cenili każdego, co się pracy ręcznej oddawał. Ale, Ryszardzie — *ne quid nimis!* Nie zanadto!“ — „Ale czyż ja na takiego wyglądam? — odrzekł urażony Ryszard. Czyż nie jestem człowiekiem najcierpliwszym pod słońcem? Czyż nie jestem zupełnie zadowolony tak długo, póki nie zechcesz mnie karmić swą matematyką, albo też swą nową naukową estetyką, lecz zostawiasz mi trochę mej praktycznej estetyki na złocie i stali, gdy się bawię dłutem i młotkiem“. Ryszard w chwilach wolnych jest artystą sycerzem.

Gdy tak gwarzyli, pojawiła się naraz w sali postać nader błyskotliwa. Był to młodzieniec w odzieży wytwornej, tkanej złotem. Miał na obliczu i w posta-

wie ten wyraz dumy, którego piękno zwykle ludziom udziela. Poza tem był człowiekiem dobrym i serdecznym. Był to powieściopisarz, zakochany w przeszłości; dowiedziawszy się o obecności gościa z krajów nieznanых, przybył, w nadziei znalezienia tematu do powieści, i po przywitaniu zaczął osypywać William pytania. Ryszard jednak ostrzega podróżnika przed niebezpieczeństwem, samego zaś Boffina — tak romansopisarza przezwano — prosi o zaprężenie konia do wózka, który ma ich zawieźć do Bloomsbury, pocieszając go, iż gość nie jest dlań stracony i że po powrocie z podróży zaspokoi jego ciekawość, odpowiadając na wszelkie pytania. William potwierdza tę obietnicę, spogląda jednak z podziwem na Ryszarda, pozwalającego sobie na taką poufałość z osobą, którą, sądząc z godności i odzieży, musiała być, co najmniej, senatorem. Uspokojono go jednak szybko: Boffin, który ubiera się chętnie to jak trubadur, to jak baron średniowieczny, jest jednak najserdeczniejszym chłopcem, pełnym talentu, i bynajmniej nie uważa sobie za ujmę zaprężenia koni dla przyjaciół. Jakoż istotnie, wkrótce sprowadził elegancki i wygodny wózek, zaprzężony w siwego wałacha, i William z Ryszardem udają się w podróż.

Cała okolica przedstawia tylko ogrody, parki i laski, po których rozrzucone są, w malowniczym nieporządku, niewielkie, lecz wytworne domy różnych stylów, głównie zaś średniowiecznego. Można było pomyśleć, iż wskrzeszony został wiek XIV. Wrażenie to potęgowała jeszcze odzież, która nie miała w sobie nic „nowożytnego“. Prawie wszyscy byli jasno

odziani, zwłaszcza kobiety, rozkoszne i piękne nad wyraz. W jednym tylko miejscu znaleźli szereg większych budynków, pełnych smaku i wspaniałej ornamentacyi. Było to połączenie stylów gotyckiego, sara-ceńskiego i byzantyjskiego. Najbardziej zwracał uwagę ośmiokąt, pokryty kopułą i jaknajdelikatniej przyozdobiony. Było to coś w rodzaju florentyńskiego Baptysteryum, a stanowiło teatr. Tuż obok pałac zebrzań, dalej rynek. Ta masa pięknych budowli pośród bogatej roślinności nie tylko tworzyła wspaniały widok, ale promieniała zarazem taką falą szlachetnego życia, iż poeta czuł się przepełnionym jakimś żywiołowym weselem i radością bytu wśród tych mężczyzn, kobiet i dzieci, zdrowych i szczęśliwych — w znaczeniu greckim! — pośród przejeżdżających wozów, pełnych świeżej i różnorodnej zieleni jarzyn. Proszę zauważyć, iż autor umie utrzymać swe opisy w stylu szlachetnym, przypominającym obrazy mistrzów holenderskich. William dziwi się, iż nie widzi na rynku prawdziwych chłopów, t. j. takich, którzy sprzedają cokolwiek.

„Nie rozumiem właściwie — odparł Ryszard — o kim Pan mówi i co Pan rozumie przez „chłopów“. Są to wszystko sąsiedzi, jakich Pan wszędzie w dolinach Tamizy spotkać może. Wyglądają wszyscy jednakowo. Są na naszej wyspie okolice surowsze i bardziej dzdzyście: tam ludzie noszą mocniejszą i grubszą odzież. Niektórzy przenoszą nawet ich wygląd nad nasz. Powiadają, iż jest w nim więcej charakteru. Jest to jednak rzecz smaku“.

„Jak to się dzieje — pytał się w dalszym ciągu William — iż nie widzę nikogo, ktoby się miał źle, ale to nikogo?“

Ryszard ściągnął brwi z zadziwienia.

„W jakim znaczeniu Pan to powiada? Jeżeli kto się ma źle, to zostaje u siebie w domu, co najdalej lazi sobie po ogrodzie, ale nie słyszałem, by ktokolwiek teraz był chory“.

Gdy William objaśnił, iż ma na myśli, nie chorych, lecz ubogich, Ryszard wesoło odpowiada, że o niczem podobnem nie słyszał.

„Zaprowadzę Pana — dodaje — do mego dziadka, który lepiej tę kwestyę rozumieć musi, niż ja“.

Droga naszych podróżników naraz skrzyła w pyszny las, złożony głównie z dębów i kasztanów, pełen świeżości, światła słonecznego i cienia. Las przepełniony jest mnóstwem dzieci, chłopców i dziewcząt, najrozmaitszego wieku, od kilkoletnich do kilkunastoletnich. Tu i owdzie rozrzucone są namioty, a przed nimi wiszą kotły nad ogniskami, zupełnie jak u cyganów. Dzieci te zbiegają się do lasu z różnych kątów prowincyi dla wspólnego spędzenia lata. W ten sposób uczą się samodzielnie myśleć i postępować, obserwują przyrodę, rośliny i zwierzęta, a czem mniej oddychają dusznem powietrzem, tem lepiej. Niema wśród nich żadnego — chłopca lub dziewczyny — coby nie umiało pływać lub hasać na koniu. Spędzają tak lato same, bez żadnego dozoru, zdala od rodziców i opiekunów, pozostawione w zupełności sobie.

Co za wspaniały obraz tych sylfów młodych i faunów, karmionych mlekiem i rosą, igrających koło ogniska, lub jeżdżących konno! Naturalnie, nikt o metrykę tych dzieci nie pyta — szukajcie metryki u młodych wilezat lub jelonków! — ani też czy ich rodzice zapisali swą miłość w odpowiedniej księdze, czy nie.

Mówi się obecnie w pedagogii wiele o tem, iż

dzieci powinny wszystko same spostrzegać. Jeżeli metoda ta ma mieć istotne znaczenie, to polega właśnie na bezpośrednim zetknięciu dziecka z przyrodą. Na tem też polega cała metoda wychowawcza Morrisa, który posuwa się do ostatnich krańców indywidualizmu, odrzucając w zupełności szkołę. Te „stajnie dla chłopców“ w jego ideale znikły. Oto dosadna jego krytyka teraźniejszości pod tym względem: „Dzieci zamknięte są z bezwzględną brutalnością, pomimo różnicy uzdolnień i skłonności, w szkołach i tam poddawane ustawicznej dyscyplinie. Takie postępowanie spuszcza z uwagi warunki rozwoju fizycznego i duchowego. Nikt bez uszkodzenia nie mógł wyjść z takiego drep-taka i zmiażdżenia mogły się oprzeć tylko te dzieci, w których duch oporu był dość silnym. Na szczęście, duch ten umiał być potężnym w dzieciach wszystkich czasów; inaczej nie sposób pojąć, jakbyśmy mogli zająć obecne swe stanowisko“.

Nawet pojęcie szkoły dla dzieci znikło w nowem społeczeństwie. — Na zapytanie Williama: czy dzieci ich chętnie chodzą do szkół?

„Szkół? — powtórzył Ryszard z zadziwieniem — nie rozumiem w jakim związku słowo to może być z dziećmi. Mówi się u nas o szkole filozoficznej, malarskiej lub poetycznej, jak jednak można mówić o szkole dla dzieci—to przekracza moje pojmowanie“.

„Użyłem wyrazu tego w znaczeniu instytucji wychowawczej“ — odparł William.

„Wychowanie? — zapytał się znowu Ryszard — słyszałem już wielekroć to słowo, nikt jednak nie umiał mi objaśnić, co przez nie rozumieć należy“.

Po tem otwartem wyznaniu towarzysz mocno upadł w pojęciu Williama, który dość ironicznie odparł:

„Wychowanie jest to system, według którego młodzież jest nauczana“.

„Czemu tylko młodzież, a nie dorośli także? — zapytał się Ryszard. — Zapewniam jednak Pana, iż dzieci nasze uczą się bardzo wielu rzeczy, nie przechodząc przez żaden system wychowawczy. Nie znajdziesz Pan ani jednego, któreby nie umiało pływać i jeździć konno. Umieją gotować, drwa piłować, dachy kryć i wykonywać wszelką pracę stolarską. Zapewniam Pana, iż uczą się bardzo wielu rzeczy“.

„Tak, ale wychowanie umysłu i charakteru — odparł William.“

„Kochany gościu — brzmiała odpowiedź — pewnoś Pan się nie uczył rzeczy, o których mówiłem, i dlatego sądzisz, iż do nich nie jest potrzebna wielka zręczność i że w nich umysł i charakter nie znajdują pokarmu. Rychło-byś Pan zmienił swe zdanie, gdybyś obserwował, np., chłopców przy kryciu dachów w Dorsetshire. Rozumiem jednak, iż mówisz Pan o uczoności książkowej, a ta jest bardzo prostą rzeczą“.

Żadnego systemu wychowania w ideale Morrisa niema. Dzieci, jak wiadomo, chętnie naśladują: widząc dorosłych przy pracy w ogrodzie, polu lub przy warsztacie, same także chętnie się uczą bez żadnego przymusu. Mając pod ręką elementarze i książki, od lat najmłodszych umieją czytać. Lubią zaś tak namiętnie bazgrać, iż pisanie także przychodzi im samo przez się, przy jaknajmniejszych wskazówkach. I owszem, powstrzymywać je raczej należy, by nie psuły ręki i oczu. Języków obcych uczą się ze stosunków z ludźmi, z podróży. Następnie, umiejąc czytać i pisać, znajdują wnet kogoś, co im wskazuje najlepsze książki w tym lub owym przedmiocie, który ich zajęcie

wzbudza, lub objaśnia to, co w książkach pozostało niejasnem.

Jedne mają zamiłowanie do historyi, inne do przyrody lub matematyki—wogóle każde studjuje to, co mu się podoba. Zresztą namiętność książkowa nie jest nazbyt rozwinięta, ale nikt nie zabrania oddawać się jej do woli. Wówczas dopiero istotnie zdolności wybierać będą karierę naukową, i te posuną wiedzę naprzód.

Naraz nasi podróżnicy przejechali koło budynku, który William poznał: „Wszak jest to parlament—zawołał. — Czy wy także w nim jeszcze rozprawiacie?”

Ryszard parsknął głośnym śmiechem. „Rozumiem was, sąsiedzie — rzekł. — Podziwiacie, iż nie zwaliliśmy tego gmachu; czytałem kilka książek o tej dziwnej grze, która w nim miała miejsce. Dla nas on obecnie służy jako śpichlerz, ku czemu także zresztą nie jest bardzo przydatny, gdyż leży na brzegu rzeki. Na początku naszej nowej ery chciano go nawet zwalić, ale zjawilo się jakieś dziwne towarzystwo badaczów starożytności, które sprzeciwiło się zburzeniu tego i kilku innych gmachów i postawiło na swoim“.

Przybyli wreszcie do dzielnicy — Piccadilly — zabudowanej domami, mieszczącemi piękne sklepy. Okna wystawowe przepełnione były wyborem towarów, które oglądali przechodnie; ten i ów wchodził do magazynu i wychodził z pakunkiem w ręku. Po obydwu stronach ulicy ciągnęły się, jak w miastach starowłoskich, arkady dla ochrony przechodniów od deszczu. Ryszard proponuje Williamowi, by udali się do jednego ze sklepów; ten przypomina sobie jednak, iż nie wziął z sobą pieniędzy, a właśnie po-

trzeba mu tytoniu i fajki. Towarzysz wszakże uspokaja go, iż jakoś to będzie.

Zatrzymał cugle i zeskoczył z wózka, a wśląd za nim i William. Przechodziła właśnie piękna, w jedwabiacz, pani, zaglądająca po drodze do wszystkich okien wystawowych. Ryszard zwrócił się do niej: „Czy nie byłaby Pani tak łaskawą potrzymać nam chwilkę konia?” Pani skłoniła głowę z uśmiechem i zaczęła głaskać konia pięknymi rękami. — Zdaje się, iż autor w swem zamiłowaniu do równości posunął się tu już za daleko.

„Co za piękna istota!” — rzekł William.

„Tak — odparł Ryszard, — dobrze jednak, iż jest ich wiele i że każdy Jan swoją Małgorzatę znajduje, inaczej nie obeszłoby się bez walki. Nie mogę nawet przysiądz — dodał, stając się naraz poważnym — iż pomimo wszystkiego, do walki nie przychodzi, gdyż miłość jest rzeczą zupełnie nierozumną; nie słucha ona żadnych powodów i jej egoizm przejawia się daleko częściej, niż mniemają nasi moralisci“.

Tymczasem wstąpili do sklepu, który w urządzeniu swem niczem się nie różnił od obecnych. Znaleźli tam tylko dwoje dzieci, chłopca i dziewczynę, dwunastoletnich, zaczytanych w książce.

William otrzymał tytoń doskonały i fajkę artystycznie rzeźbioną, złotem i drogocенnościami ozdobioną. „Ależ jest ona nazbyt wspaniałą dla mnie — zawołał — zresztą ja ją napewno zgubię, gdyż gubię zwykle wszystkie moje fajki“.

„A to i cóż — odparła dziewczynka — gdyby nawet Pan ją zgubił? Znajdzie ją kto inny i weźmie do użytku, a Pan otrzyma nową“.

William zapytał się o cenę. Ryszard jednak po-

łożył swą rękę na jego ramieniu i spojrzał nań tak drwiąco, iż William zawstydził się przejawu swej geszefciarskiej moralności. Dziewczynka zaś spoglądała nań z poważnym wyrazem twarzy, jakgdyby to był cudzoziemiec, którego-by języka nie pojmowała.

Przyznam się, iż tego rodzaju rozprawy, niezależnie od swej chimeryczności, sprawiają w ustach ludzi bogatych, jakim był Morris, wrażenie nieprzyjemne. Jeżeli słowa ich nie mają być przyjęte za obłudę, za chęć samoobrony lub wykupu, rzuceniem kości głodnemu psu, lub wreszcie chęcią pośredniego wyzysku zdobyciem popularności, to powinni, zanim przystąpią do rozprawiania o nich, wyrzec się wszystkiego, rozdać biedakom całe swe bogactwo. Jeżeli istotnie ich przekonania są im droższe nad życie, to tembardziej mogą dla tych przekonań wyrzec się wygod materyalnych — i tylko w takim razie postępowanie ich nie będzie obłudnem. Panowie ci twierdzą zwykle, iż kierują nimi powody, nie materyalne, lecz moralne: nie łatwiejszego nad złożenie dowodu z wyrzeczenia się. Słowa nie znaczą, lecz tylko czyny; czyny są wskazówką, która ze ścisłością matematyczną pozwala mierzyć zamiary i uczucia, słowa zaś niczego nie dowodzą. Tylko biedak ma prawo przemawiać do biedaków, poprawiać ich i moralizować w imieniu równości, gdyż może to czynić szczerze. Człowiek zamożny, jeżeli czyni to, nie wyrzekając się zamożności, daje jasny dowód, iż względy materyalne przeważają w nim nad moralnemi — i tem podkopuje całą wartość swych kazań. Zarazem daje dowód swej niewątpliwej, acz często nieświadomej, obłudy.

Gdy nasi podróżnicy wyszli ze sklepu, konia ich trzymał siwobrody starzec: powierzyła mu go młoda

pani, odchodząc. Dowiedziawszy się dokąd jadą, starzec siadł z nimi do wózka, gdyż udawał się właśnie w tę samą stronę.

W dalszej rozmowie William zapytuje się: czy nie mają w nowem społeczeństwie więzień? Zaledwie wypowiedział to słowo, zrozumiał, iż zrobił głupstwo, gdyż Ryszard zmarszczył czoło i poczerwieniał, a na twarzy starca odmalowało się cierpienie. Ryszard powstrzymał się jednak w swym gniewie i rzekł:

„Jak możesz Pan stawiać takie zapytania? Tylko opierając się na świadectwie wiarogodnych ksiązek i przywołując do pomocy wyobraźnię, staramy się wytworzyć sobie pojęcie o tem, czem jest więzienie. A czyż Pan sam nie zwrócił uwagi na wyraz szczęścia, błyszczący w twarzach ludzi, których spotkaliśmy na ulicach i po polach? Jakżeż oni mogliby wyraz taki posiadać, wiedząc, iż ich współludzie cierpią po więzieniach? Czyż mogliby to znieść spokojnie?“ Autor w swym idealizmie i tu zbyt daleko się posuwa. Trudno przypuścić, by w najidealniejszym nawet ustroju społecznym instytucje karne w zupełności zaniknąć mogły.

Wtem napotkali wielki gmach, widocznie ożywiony pracą licznie zebranych osób. „Co to za budowla — zapytał William — wygląda na fabrykę?“

„Zgadłeś Pan — odparł Ryszard — „nazywamy jednak te zakłady, nie fabrykami, lecz połączonemi warsztatami, t. j. miejscami, w których ludzie się schodzą, by wspólnie pracować“.

„Używają jednak przytem jakiejś siły naturalnej?“

„Bynajmniej—odparł.—Gdyby szło tylko o siłę naturalną, nie byłoby powodu do zbierania się wspólnego, gdyż każdy siłę taką może mieć we własnym mieszkaniu. Nie, w warsztatach tych zbierają się ludzie mający do wykonania taką pracę, przy której współpracownictwo wielu osób jest konieczne i pożyteczne. Praca ta jest często nader przyjemna. Tu np. robią garneczki i wyciory szklane — widzisz Pan tam kominy. Daleko, rozumie się, wygodniej jest mieć wielkie piece wspólne... Wewnątrz jest bardzo pięknie, ale prosto, również jak i na zewnątrz. Co się dotyczy samego zajęcia, to uważają gnienie gliny za pracę nader przyjemną, natomiast wydymanie szkła jest nużące i uciążliwe. Pomimo to bardzo wielu chętnie nim się zajmuje, i to mnie wcale nie dziwi: umiejętność obchodzenia się z rozpaloną masą nie jednemu udziela poczucia siły!”

O kilka kroków dalej przyjaciele napotkali gromadę mężczyzn, którzy poprawiali bruk na ulicy. Wózek się zatrzymał, co było nader przyjemnem dla Williama, gdyż dotychczas widział raczej ludzi spacerujących i oddychających; chciał więc zobaczyć jakimi są przy istotnej, pożytecznej pracy. Było to dwunastu silnych młodzieńców, którzy czynili wrażenie tegoczesnych studentów oxfordzkich i którym praca widocznie nie sprawiała większego znużenia. Ich zwierzchnia odzież złożona była na uboczu, pod strażą sześciolatniego chłopaka, który otoczył ręką szyję olbrzymiego psa; pies leżał w pozie tak rozkosznie leniwej, jakgdyby piękny ten letni dzień był tylko dla niego. Odzież błyszczała jedwabiem i złotymi ozdobami. Tuż na uboczu stał wielki kosz z pożywieniem, w rodzaju zimnych pasztetów i wina. Sześć młodych kobiet i dziew-

cząt przypatrywało się pracy i pracującym. A warto było na nich patrzeć, gdyż wykonywali swe dzieło tak zręcznie i rzeźko, jak tylko po tak wspaniałych młodzieńcach w piękny dzień letni oczekiwać było można. Śmieli się i rozmawiali wesoło pomiędzy sobą i z paniami.

Widząc jednak, iż nasi podróżnicy czekają, przerwali pracę i pomogli im do przeprowadzenia wózka przez wyboje ulicy i następnie z nowym weselem, jak ludzie oddający się z miłością jakiemuś zajęciu, powrócili do roboty. Ryszard spoglądał na nich prawie z zazdrością i zauważył: „Gdy się ma pewną określoną pracę do wykonania, pośród wesołych towarzyszków, człowiek czuje się nieskończenie szczęśliwym. Praca jest największą rozkoszą!”

Już z dotychczasowego wykładu można wnosić, iż jak przepyszna sielanka mamy do czynienia w tych „Wieściach z Nikad”. Świat ten, artystycznie piękny, ma tę zaletę, iż nie przedstawia chimery zupełnie niemożliwej do urzeczywistnienia. Zbyt tylko, być może, lekceważąco autor zachowuje się wobec nauki: prawdopodobnie w społeczeństwie przyszłości grać ona będzie rolę daleko czynniejszą, niż to się Morrisowi wydaje; kto wie nawet, czy nie będzie centralną kierowniczką całego biegu spraw społecznych. Również trudno przypuścić, by szkoły w zupełności zanikły: prawdopodobnie instytucje systematycznego przelewania wiedzy, w tej czy owej formie, zawsze istnieć będą.

Może także nazbyt wiele autor nalega, jak już rzekliśmy—na równość, której sam przykładu nie dawał, żyjąc zamożnie wśród nędzy, nad którą ubolewał; ponieważ zaś ani dobrych zamiarów, ani szczerości, ani szlachetności Morrisa nie sposób podejrzewać, możnaby zatem tylko taki wniosek wyprowadzić, iż ró-

wność nie jest w naturze ludzkiej: należy więc dążyć do szczęścia społecznego, zachowując nierówności konieczne. Tylko to mógłby Morris logicznie głosić. Wreszcie może autor rozrzuci w swem społeczeństwie idealnem zbyt wiele złota, jedwabów, kamieni drogocennych, które ani potrzebie realnej, ani wymogom smaku nie odpowiadają; a nadają powieści charakter nieco chimeryczny.

Wróćmy wszakże do naszych podróżników. Po pewnym czasie zajeżdżają oni do British Museum, w którym, w charakterze konserwatora, mieszka dziadek Ryszarda.

ROZDZIAŁ VI.

Wstąpili do pokoju, urządzonego bardzo prosto. U stołu, koło okna, siedział staruszek na fotelu, otoczony poduszkami. Widząc wchodzących, uniósł się i nader silnym na swój wiek głosem zawołał: „Jak się miewasz, Ryszardzie! Klara jest tu, u nas, i będzie nadzwyczaj szczęśliwą z twego przyjazdu“.

„Klara jest tu? — z drżeniem w głosie powtórzył Ryszard. — Gdybym był wiedział nie byłbym... to jest byłbym...“

Widocznie był w zakłopotaniu i William czuł się zupełnie zbyt. Staruszek jednak, który dotychczas go nie był spostrzegł, przystąpił doń z serdecznym uśmiechem i powitał jak przyjaciela. „Widzę — dodał — iż wnuk mój sprowadził Pana dlatego, że mógłbym Panu w czemkolwiek być użytecznym. Czy tak, Ryszardzie?“

Ryszard wyrwał się ze swego zamyslenia i odparł: „Gość nasz znajduje wszystko tak zmienionem w Anglii, iż nie może zrozumieć tego, na co patrzy; a ponieważ nikt lepiej nie zna historii ostatnich dwu stuleci niż Ty, uważałem za najodpowiedniejsze przyprowadzić go do Ciebie“.

Naraz drzwi się rozwarły i stanęła w nich młoda, niezwykle piękna kobieta. Pasy pokryły jej twarz, gdy spostrzegła Ryszarda; pomimo to patrzyła mu śmiało w oczy, on zaś drżał cały ze wzruszenia. Staruszek przerwał ich milczenie ze zwykłą swą rzeźwą wesołością, powiadając: „Ryszardzie, mój chłopcze, i ty, kochana Klaro, my, dwaj starzy, jesteśmy Wam prawdopodobnie na przeszkodzie, a macie pewno wiele do pomówienia. Udajcie się na górę do pokoju Nelsona, który wyszedł; pokój ten zawiera wiele pięknych obrazów średniowiecznych, co zupełnie będzie odpowiednie dla waszego nowego szczęścia“. Kobieta podała Ryszardowi rękę i wyszła z nim z pokoju. Staruszek zaś zwrócił się do Williama, powiadając: „Okazesz mi Pan wielką przysługę, wprawiając w ruch mój stary język. Moje gadulstwo wzrasta z wiekiem, a obecne pokolenie niechętnie słucha opowiadań z przeszłości. Ostatnia jesień, ostatni nowonarodzony, ostatnie dzieło sztuki: oto jedyna historia, która ich interesuje. Za moich czasów było inaczej, gdyż nie byliśmy wówczas tak pewni pokoju i dobrobytu, jak teraz—tak, tak! A więc stawiaj Pan pytania“.

Po chwili milczenia William, prosząc o wybaczenie za niedyskretność, zapytał się: czy Klara jest naręczoną Ryszarda. „Tak—odparł staruszek—byli oni już raz pobrani, teraz jednak wygląda na to, iż poraz drugi się pobiorą“.

„Istotnie“—wymówił William, nie rozumiejąc dokładnie, o co chodzi.

„Słuchaj Pan całej tej historii — rzekł stary Hammond —jest ona krótką i, spodziewam się, szczęśliwą. Pierwszy raz żyli z sobą dwa lata. Byli oboje jeszcze bardzo młodzi, i oto ona wbiła sobie w gło-

wę, iż kocha innego. Opuściła więc biednego Ryszarda—powiadam „biednego,“ gdyż on żadnej innej nie znalazł. Trwało to jednak nie długo, blisko rok, potem przyszła do mnie, gdyż przyzwyczajona była dzielić się smutkami ze mną, starym, zapytując: co się dzieje z Ryszardem, czy jest szczęśliwy i t. p.? Naturalnie, zrozumiałem natychmiast jak rzeczy stoją, i odrzekłem, iż jest nieszczęśliwy i niezupełnie zdrow; to zaś było stanowczem kłamstwem. Reszty się Pan domyślasz. Klara przybyła tu dziś, by dłużej ze mną pomówić, ale Ryszard potrafi lepiej swą sprawę załatwić niż ja. Istotnie, gdyby dziś przypadkiem nie był przyjechał, posłałbym jutro po niego“.

„To zadziwiające! — zawołał William—czy mają dzieci?“.

„Dwoje — odparł Hammond.—Znajdują się u jednej z mych córek, u której Klara także mieszkała. Nie chciałem jej tracić z oka, gdyż byłem pewny, iż ponownie się pobiorą, a Ryszard, który jest człowiekiem najserdeczniejszym pod słońcem, zawsze był gotów do tego. Zresztą, nie miał żadnej innej miłości, która byłaby dlań ucieczką, jaką miała ona. I tak, wszystko doprowadziłem do porządku i niejednokrotnie już w takich wypadkach miałem szczęśliwą rękę“.

„Aha!—zawołał Ryszard—nie chciałeś Pan udawać się do sądów rozwodowych; ale domyślam się, iż one muszą załatwiać mnóstwo spraw tego rodzaju“.

„Domyślasz się Pan w sposób zupełnie niedorzeczny — odparł staruszek.—Wiem bardzo dobrze, iż istniały niegdyś instytucje tak waryackie jak sądy rozwodowe; ale pomyśl Pan tylko: wszystkie sprawy ówczesne obracały się koło kwestyi własności, a jakkolwiek Wy, szanowny gościu, spadliście z innej

planety—dodał, uśmiechając się—to przecież jeden rzut oka na obecne nasze urządzenia może Pana przekonać, iż wszelkie spory o własność u nas stały się niemożliwymi“. William musiał się zgodzić z tem, a stary ciągnął dalej: „Ponieważ tego rodzaju sporów być nie może, więc cóż te sądy mogłyby rozstrzygać? Czy wyobrażasz sobie Pan trybunał, który chciałby użyć gwałtu dla przerwania namietności lub rozwoju uczucia? Nie trzeba nawet dowodzić szaleństwa takiego gwałtu“.

Po chwilowem milczeniu dodał:

„Musisz Pan wziąć pod uwagę, iż nasz punkt widzenia w tej sprawie gruntownie się zmienił, jak i my wogóle w ciągu ostatnich dwu stuleci zupełnieśmy się zmienili. Nie oddajemy się żadnym złudzeniom i nie myślimy bynajmniej, by można było raz na zawsze położyć koniec burzom i zakłóceniom w stosunkach pomiędzy płciami. Wiemy bardzo dobrze, iż musimy znosić nieszczęście, które stąd pochodzi, iż mężczyzna i kobieta wikłają stosunki namietności naturalnej z uczuciami przyjaźni, która może w najlepszym razie złagodzić przebudzenie z przejściowego szalu zmysłów; nie jesteśmy jednak o tyle szalonymi, by do nieszczęścia tego dodawać jeszcze sromotę, wdając się w brudne spory o majątek, stanowisko, lub władzę tyranizowania dzieci“.

„Znamy — ciągnął w dalszym ciągu — wszystkie stadya uczucia miłosnego: poloty młodzieńcze, które rwą się do wiekuistego bohaterstwa i męczeństwa, a kończą bardzo wczesną śmiercią rozczarowania; niewymowną żądzę człowieka dojrzałego, aby być wszystkim dla kobiety i poświęcenia jej wszystkiego, uważając jej zwykle ludzką dobroć i piękno za nadludzką do-

skonałość; i wreszcie rozumną wolę człowieka czynnego i rozważnego, aby stać się najbliższym przyjacielem kobiety pięknej i rozsądnej, tego prawdziwego prototypu szczęśliwości na tym świecie. I jak radujemy się z rozkoszy podnieconego życia, które związane jest ze wszystkimi temi sprawami, tak samo występujemy odważnie przeciw złączonym z nią troskom i smutkom.

Po kilku chwilach namysłu Hammond ciągnął dalej: „Możesz Pan jednak być pewnym, iż nasze obecne pokolenia są silne i zdrowe i nie starają się same sobie utrudniać życia. Spędzamy je na rozumnej walce z przyrodą, rozwijamy, nie jedną tylko, lecz wszystkie strony naszych istot, i bierzemy udział najżywszy i najgłębszy w ogólnem istnieniu świata. Jest to punktem honoru u nas, iż jednostka nie uważa siebie za środek świata, nie wierzymy, że świat zginie, gdy jednostce na nim czegoś zbraknie. Dlatego też uznajemy za głupstwo, a nawet za występki, przesadę w sprawach uczucia. Jak mało skłonni jesteśmy do żywienia i rozwijania naszych cierpień fizycznych, również mało staramy się wyolbrzymiać swoje cierpienia uczuciowe ponad wszelką miarę i przyznajemy, iż oprócz załotów i gry miłosnej istnieją inne jeszcze przyjemności. Dodać należy, iż trwanie życia jest dłuższe i dzięki temu piękno mężczyzny i kobiety nie jest tak przelotne jak za czasów, gdy dobrowolnie żywione cierpienia i słabości je skracały. Otrząsamy się z cierpień w sposób, który sentymentalistom ubiegłych czasów okazałby się może godnym pogardy i bynajmniej nie bohaterskim, który my jednak uważamy za konieczny i męski. Jak przestaliśmy wiązać swoją miłość z geszef-tami, tak również przestaliśmy starać się o to, by sztu-

cznie wystawiać się na głupców. Z głupotą przyrodzoną, również jak z nierozsądkiem ludzi niedojrzałych lub przestarzałych, umiemy sobie dać radę i czynimy to bez wstydu; ale być rozmyślnie czułościowym i sentymentalnym — nie, mój przyjacielu, jestem, może trochę zgryźliwym, ale możemy być dumni, iż uwolniliśmy się od pewnych głupstw, pod którymi dawny świat cierpiał“.

Ponieważ William nie odpowiadał, starzec prawił dalej:

„Nie kłamiemy przynajmniej i nie nosimy masek, gdy mamy cierpieć pod zmienną tyranią przyrody. Jeżeli ludzie mają być rozwiezieni, to niechaj tak się stanie; nie trzeba żadnego pozorów jedności tam, gdzie jej nie ma, a ludzi, którzy nie są zdolni do uczuć nieśmiertelnych, nie zmuszamy do wyznawania tego, czego oni czuć nie zdołają. Rezultatem jest to, iż potworność sprzedanej rozkoszy u nas nie jest możliwą i że potrzeba jej nie istnieje. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Wydawało mi się, iż nie jest to Panu nieprzyjemnem, że żadne sądy już nie rozstrzygają spraw dotyczących uczucia lub namiętności; ale człowiek jest tak dziwnie urządzony, iż będzie to Panu może nieprzyjemnem, gdy powiem, iż funkcyi takich sądów nawet opinia publiczna nie spełnia, choć zwykle nie mniej tyrańsko i nierozumnie postępuje. Nie chcę tem bynajmniej powiedzieć, by jeden sąsiad nie mógł chwilami krytykować postępowania drugiego; chcę jednak tylko to wyrazić, iż sądy takie nie odbywają się już według jakiegoś systemu niezmiennych reguł, — iż nie ma u nas żadnego łoża Prokrustowego, na którym-by się życie człowieka skracало, żadnych obłudnych oświadczeń szacunku, których ludzie

dawniej wymagali bądź dlatego, iż znajdowali się pod panowaniem bezmyślnych przesądów, bądź dla tego, iż obawiali się sami zostać ofiarami banicyi. No, i cóż, czy jesteś Pan moralnie oburzony?“

„N — nie“ — odparł William, zwlekając — „więc wszystko jest tak dalece zmienione?“

„O tem tylko mogę Pana zapewnić — rzekł Hammond — iż uczucie jest u nas szczere i powszechne, nie ogranicza się jedynie naturami wydelikacjonemi, i tak mężczyzna jak kobieta przy tych warunkach cierpią daleko mniej niż dawniej“.

Na zapytanie: jakim jest położenie kobiety w nowym społeczeństwie? — Hammond odpowiada: „Tak zwana kwestya kobieca jest u nas oddawna już załatwiona. Mężczyźni nie mają żadnej pobudki uciemiężania kobiet, ani też odwrotnie, jak to się dawniej działo. Kobiety robią to, co najlepiej robić umieją, a mężczyźni nie są z tego powodu ani zazdrośni, ani oburzeni“.

A gdy William zapytuje: „Czem się to dzieje, iż w hotelu kobiety usługują mężczyznom? wszak to pachnie reakcją.“

Hammond odpowiada: „Czy sądzisz Pan, iż prowadzenie domu jest zajęciem małoważnem, niezasługującym na szacunek? Prawda, że takiem było mniemanie kobiet „postępowych“ z XIX st. i ich męskich popleczników. Czyż Pan nie wiesz, iż dla czynnej kobiety prowadzenie domu jest wielką przyjemnością: robi to ona tak, iż wszyscy są zadowoleni i wdzięczni... Śmiać mi się chce, gdy przypominam sobie, iż w XIX w. istniał między t. zw. ukształconymi ludźmi pogląd, iż ugotowanie obiadu stanowi coś poniżającego; nie chcieli nic o tem wiedzieć, gdyż miało

to się znajdować poniżej ich godności umysłowej. Idyoci! Patrz Pan, oto jestem „uczonym“, „pisarzem“; nie przeszkadza mi to jednak być jednocześnie doskonałym kucharzem“.

A gdy William przypomina, iż w XIX w. wiele było takich kobiet intelligentnych, które chciały się uwolnić od rodzenia dzieci, Hammond staje się naraz nadzwyczaj poważnym i powiada:

„Staram się zrozumieć ten dziwaczny plód niezmiernej głupoty, która wyrosła na gruncie tyranii klasowej z owych czasów. Chcesz Pan wiedzieć, jak my o tem teraz sądzimy? Odpowiedź łatwa do przewidzenia, kochany przyjacielu. Macierzyństwo u nas cenione jest w najwyższym stopniu. Rzecz to rozumiała i powszechnie uznana, iż naturalne i nieuniknione cierpienia, które każda matka przejść musi, tworzą pomiędzy mężczyzną a kobietą węzeł jedności, nową pobudkę miłości i przywiązania. Poza tem jednak wszelkie *sztuczne* ciężary macierzyństwa są zniesione. Kobiety nasze pozbawione są troski poziomej i powszedniej o przyszłość swego potomstwa. Dzieci mogą być mniej lub więcej udatnemi, mogą zawieść najdumniejsze nadzieje: takie obawy stanowią część tych radości i smutków, z których życie ludzkie się składa; ale przynajmniej matce zaoszczędzoną jest obawa, iż dzieci jej przez urządzenia społeczne sztucznie nieudolnemi zostaną: może być pewną, iż według miary swych zdolności wzrastać i rozwijać się będą. W czasach ubiegłych „społeczeństwo“ stawało, również jak i ludzie nauki, po stronie żydowskiego Boga, który mścił grzechy ojców na dzieciach. Sprawa ta, dzięki pracy najgłębszych umysłów już rozstrzygniętą została, dziedziczności wyrwano jej żądło. I wogóle

każda przeciętna zdrowa kobieta (a prawie wszystkie są zdrowe i ładne) jest szanowana jako matka, wychowawczyni dzieci, jako żona — pożądana, kochana jako przyjaciółka i wyjęta z pod troski o przyszłość swych dzieci, i w daleko wyższym stopniu ma instynkt macierzyństwa rozwinięty, niż to być mogło u nieszczęsnych zwierząt roboczych z czasów ubiegłych, lub u ich siostr z klas wyższych, które wzrastały w obłudnej nieznajomości faktów naturalnych, w atmosferze złożonej z pruderyi i z podrażnień zmysłowych... I jakże Panu się spodobałi ludzie, których dziś spotykałeś po drodze?“

„Nigdy-bym nie uwierzył — odparł William — iż w kraju cywilizowanym tyle pięknych osób spotkać można“.

„Jakto, czyż jesteśmy jeszcze *cywilizowani*? — rzekł ze śmiechem stary Hammond. — Co się tyczy naszego wyglądu, to krew angielska i irlandzka, które tu panują, dawniej nie wydawały wiele piękności. Ale my czynnie ją odświeżyliśmy. Znam człowieka, który posiada wielki zbiór portretów i fotografii z XIX w.; jeżeli porównać te wizerunki z przeciętnymi obliczami naszych czasów, to rezultat, bezwątpienia, jest dla nas przychylny. A są tacy, co ten wzrost piękna stawiają w związku bezpośrednim z wolnością i racjonalnością naszych urządzeń społecznych. Sądzą oni, iż dziecko pochodzące z miłości zdrowej i naturalnej pomiędzy mężczyzną a kobietą, nawet w wypadku, gdy miłość ta jest przelotnej natury, pod każdym względem, a także pod względem piękna fizycznego, musi być lepiej uposażone, niż owoce szacherskich małżeństw bogaczy lub bezmyślnych połączeń zwierząt roboczych z dni ubiegłych“.

Morris jest wrogiem zapamiętałym wszelkich fałansterów, komunistycznego pożycia i spożycia. Gdy William się dziwi, iż zachowano prywatne domy i prywatne gospodarstwo, Hammond odpowiada:

„Każdy żyje, jak mu się podoba, a wogóle każdemu podoba się żyć z wybranymi towarzyszami, do których jest przyzwyczajony. Nie zapominaj Pan, iż niema u nas bynajmniej ubóstwa i że organizacje społeczne Fouriera i innych marzycieli były tylko ucieczką od zupełnej nędzy. Taki sposób pożycia mógł być wymyślony tylko przez ludzi, którzy znali nędzę w najgorszej jej postaci. Jakkolwiek jednak gospodarstwa domowe prywatne są u nas regułą, różnią się one jedne od drugich w mniejszym lub większym stopniu i, naturalnie, żadne drzwi nie są zamknięte dla serdecznego gościa, który chce się zastosować do przyzwyczajen życiowych pozostałych towarzyszy. Byłoby niesłusznie żądać, by ktoś, wchodząc do towarzystwa, chciał je zmusić do zmiany nawyków i poddania się jego woli; może w takim razie gdzieindziej się udać i żyć według swych upodobań“.

W dalszym ciągu dowiadujemy się, iż wielkie miasta w sposób naturalny poznikały i że wogóle wszelka różnica między miastem a wsią się zatarła. Hammond streszcza swój wykład w tej sprawie w sposób następujący: „Anglia była niegdyś krajem pięknych płaszczyzn, tu i owdzie pokrytych lasami, z niewielką ilością miast, które służyły za fortece dla armii feodalnych, za rynki dla ludu i punkty zborne dla rzemieślników. Później była krajem olbrzymich, zatratnych warsztatów, otoczonych zagospodarowaniami farmami. W jednych i drugich żył lud nędzny i wyzyskiwany. Teraz Anglia jest pięknym ogrodem, w któ-

rym nie nie pozostało pustego i bezcennego; mieszkania i warsztaty rozrzucone są po całym kraju, wszystkie ładne, zdrowe i wygodne“.

William był także ciekaw, czy zostało cokolwiek z Oxfordu i wogóle z miast uczonych. Otóż pozostały z nich tylko niektóre budynki jako pamiątki archeologiczne. Autor uważa te miasta za zwykłe przybytki uczonego geszeftu i oszustwa. Są to gniazda nieudolności i pasożytów, którzy swe zamięłowanie do drukowanej bibuły, kompilowanej na wszelkie sposoby, chcą wydać za naukę. Bogate mieszczaństwo (gdź z klasą robotniczą nie mają oni nic wspólnego) traktuje tych handlarzy z pogardliwą tolerancją, zupełnie jak średniowieczny baron traktował swych błaznów nadwornych, chociaż współcześni uczeni nie są bynajmniej tak ucieszni jak owe błazny. Są to — powiada — ludzie najnudniejsi, jakich tylko wyobrazić sobie można — plaga społeczeństwa, — wysmiewani, wyszydzani i oplacani. To oplacanie jest zresztą jedynym celem ich zabiegów i dążeń. Dopiero w świecie Morrisa nauka staje się istotną wiedzą, która znajduje sama w sobie swój cel, staje się sztuką wiedzy, nie zaś szacheiką i fuszerką, jak obecnie. Proszę zauważyć, iż sam autor, wygłaszający tę ostrą krytykę, zdobył stopnie naukowe w Oxfordzie.

Poglądy Morrisa na wychowanie są, jak widzieliśmy, charakterystyczne dla wszystkich jego poglądów społecznych. Bezgraniczny prawie indywidualizm i samorzutność społeczna: oto ogólna ich formuła. Pożycie i spożycie są osobnicze. Stosunki miłosne, oparte tylko na uczuciu, rozpoczynają się, kończą, lub znów nawiązują wraz z jego przebiegiem. Z parlamentu — jako zupełnie niepotrzebnego — zrobiono spi-

chlerz, a nawet szope na nawóz. Gdy William wyraża swe zadziwienie z tego powodu, stary Hammond odpowiada z uśmiechem:

„Nawóz nie jest jeszcze najgorszym rodzajem zepsucia, zgnicia i zgnilizny; z nawozu może jeszcze powstać płodność, gdy z *tamtego* rodzaju zepsucia, które niegdyś w tych murach miało swój przybytek, wypływać mogą tylko niedostatek i nędza“. Wszystkie inne urządzenia związane z parlamentem znikły same przez się, gdyż odpowiednie sprawy rozstrzygane są samorzutnie przez społeczeństwo. Przestępcy z rozwojem dobrobytu znikli, a o ile jeszcze istnieją, oddani są na pastwę zgryzot.

Jest to rozstrzygnięcie nader ważnej sprawy społecznej w sposób dość idylliczny. Morris wogóle uważa przestępstwo za chorobę. „A ponieważ — powiada Hammond — jesteśmy wogóle ludźmi zdrowymi, więc i ta choroba nie bardzo nas niepokoi.

„Wiele gwałtów miało za źródło — powiada — sztuczne urządzenie stosunków płciowych, które wywoływały przesadną zazdrość i jej podobne nieszczęścia. Jeżeli Pan zbadasz wypływające stąd niedole, to się przekonasz, iż w gruncie ich leżała myśl, że kobieta jest własnością mężczyzny, męża, ojca, czy brata. Przesąd ten u nas zniknął, również jak i inne względem „upadku“ kobiety, który miał stąd wypływać, iż zaspakajała swe popędy naturalne w sposób nielegalny. Innym źródłem przestępstw była tyrania rodzinna. Naturalnie, iż wszystko to znikło odkiedy rodzina opiera się, nie na przymusie społecznym, lecz na miłości i przywiązaniu wzajemnym; teraz każdy i każda może iść dokąd chce i może. Następnie, droga do honorów i poważania pu-

blicznego jest u nas zupełnie inną niż dawniej. O zdobywaniu ich z krzywdą bliźnich mowy już być nie może. Każdy ma możność rozwijania swych zdolności osobistych aż do ostatnich granic, i otoczenie całe skłania go tylko ku temu“.

Co się tyczy stosunków wymiennych, to między osobami prywatnymi wcale ich nie ma. Pomiedzy grupami wszakże istnieją stosunki handlowe, „które według okoliczności są rozmaite i opierają się na powszechnie przyjętych zwyczajach. Ponieważ jednak — dodaje Hammond — są to rzeczy, które rozstrzyga ogół i nikt z osobna ani myśli w nie się wdawać, więc i pod tym względem żadnych ogólnych reguł nie mamy“.

„A jakież są stosunki wasze z obcemi ludźmi?“ — zapytał się William.

Hammond odpowiada na to, iż cały dawniejszy system samolubnych, pogardliwych i nienawistnych stosunków znikł, tak samo jak nierówność pomiędzy ludźmi.

„A czyż z zanikiem różnic narodowych świat nie stał się jednostajnym i nudnym?“

„Bynajmniej — odparł starzec — udaj się Pan na kontynent, a znajdziesz tam dość różnic. Okolica, sposoby pracy, życia, przyjemności — wszystko jest różne. Wygląd ludzi, ich oblicza i odzież są bardziej urozmaicone, niż za czasów handlu i lichwy. Stało się oczywiście dla wszystkich, iż dzięki tej różnorodności różne rasy mogą być sobie nawzajem pożyteczne i przyjemne, gdyż nie powodują się bynajmniej chęcią wyzysku. Dążymy wszyscy do celu wspólnego: użyć życia dla siebie i dla bliźnich“.

„A jakże się dzieje z różnicami w poglądach politycznych wewnątrz każdego społeczeństwa?“

Hammond odpowiada, iż niema spraw tego rodzaju, któreby mogły dzielić ludzi na trwałe, wrogie stronnictwa polityczne. „U nas — powiada — istnieją różnice poglądów w sprawach technicznych i w okolicznościach przypadkowych, a tego rodzaju kwestye nie mogą być źródłem długotrwałych podziałów. Zwyczajnie summa zdań wypowiedzianych pokazuje, który pogląd w każdej kwestyi jest słuszny; jest to sprawa rzeczywistości, a nie pajęczyna mózgowa. Trudno byłoby, np., utworzyć partję polityczną na gruncie kwestyi: czy rozpocząć sianozęcie w najbliższym tygodniu w jednej lub w drugiej prowincyi, gdyż wszyscy zgadzają się, iż praca ta musi być wykonaną w najkrótszym czasie i każdy może się udać na pole i przekonać się, iż trawa dojrzała dla pokosu“.

„I załatwicie te różnice mniemań większością głosów?“

„Naturalnie: jakżeż inaczej moglibyśmy postępować? W sprawach czysto osobistych, które nie mają nic wspólnego z dobrem ogólnem — np. jak jednostka ma się odziewać, jeść, pić, co ma czytać lub pisać — każdy postępuje jak mu się żywnie podoba. Jeżeli jednak sprawa ma znaczenie powszechniejsze, większość rozstrzyga“; mniejszość zaś, rozumiejąc, iż inaczej być nie może, jest dość rozsądną, by przeciw temu nie powstawać, zwłaszcza, iż ma zupełną swobodę wypowiedzenia swego zdania i przedstawienia rzeczy ze swego punktu widzenia.

Hammond udziela nawet bliższych szczegółów względem sposobów postępowania. „Weźmy — powiada — gminę jakąkolwiek. Przypuśćmy, iż pewna liczba gospodarzy jest zdania, iż potrzeba zbudować nową halę miejską lub stary jaki niesmaczny dom zburzyć, albo

iż na miejscu żelaznego, obrzydliwego, mostu ma być postawiony kamienny. Na najbliższem zebraniu ogólnem jeden z sąsiadów czyni odpowiednią propozycję. Jeżeli wszyscy się zgadzają, to, naturalnie, pozostaje już tylko omówienie szczegółów. Jeżeli natomiast nikt projektu nie popiera, to on sam przez się chwilowo upada. Przypuśćmy jednak, że następuje podział zdań i że niektórzy nie zgadzają się na propozycję, którą inni popierają; tamci np. sądzą, iż stary most żelazny może jeszcze służyć pewien czas, i nie chcą się obarczać budową nowego. W takim razie dalsze narady nad projektem odłożone zostają do następnego zebrania. Tymczasem wszystkie powody za projektem i przeciw niemu rozważone, wydrukowane i rozpowszechnione, pozwalają każdemu wiedzieć dokładnie o co chodzi. Gdy następnie wszyscy ponownie się zbiorą, kwestję ostatecznie rozstrząsają, i w końcu odbywa się głosowanie przez podnoszenie rąk. Jeżeli to nie doprowadza do stanowczej większości, sprawę znowu na czas późniejszy się odkłada. Jeżeli różnica zdań jest nader głęboka, to stawia się mniejszości zapytanie: czy poddaje się woli większości; na co zwykle zapada odpowiedź twierdząca, ale nieraz i przecząca. W tym ostatnim wypadku sprawa podlega nowemu rozstrząsaniu i mniejszość ustępuje, jeżeli znacznie przez czas nie wzrosła.“ — „Nikt jednak nie jest obowiązany brać udziału w pracy, jeżeli, należąc do mniejszości, nie zgadza się z projektem.“ „Naturalnie — dodał Hammond — człowiek taki może odmówić swego udziału np. przy budowie mostu... Głównie jednak zadośćuczynienie ma, jeżeli później złe jego przewidywania się sprawdzą i może powiedzieć sąsiadom: „A cóż, nie mówiłem wam?“ — „Jakże jednak się dzieje, iż skłanianie

ludzi do pracy—pytał się William w dalszym ciągu—jeżeli nie istnieje żadne wynagrodzenie za nią? Nie rozumiem jak ludzie mogą przy takich warunkach pracować starannie“.

„Żadnego wynagrodzenia za pracę?—powtórzył William.—Wynagrodzeniem za pracę jest życie. Czyż tego nie dosyć?“

„Ale żadnego wynagrodzenia za szczególnie staranną pracę?“

„Wynagrodzeniem jest poczucie twórczości! Radość ta towarzyszy szczególnej, wyborowej pracy... Wiem, iż niegdyś na pracę spoglądano jako na plagę; ale my jesteśmy już od tej myśli całkiem oddaleni, gdyż, i owszem, obawiamy się, iż może nastać czas, gdy będziemy mieli *zbyt mało* pracy. Praca jest przyjemnością, którą boimy się stracić, a nie plagą“.

„Czem się to dzieje, iż praca stała się u was przyjemnością?“

„Gdyż każda praca jest obecnie przyciągającą. Nie pochodzi to z nadziei wynagrodzenia lub honoru, lecz stąd, iż praca stała się przyjemnem przyzwyczajeniem, a głównie jest dla nas sztuką, istotną, światową sztuką, wykonywaną przez artystów.“ — „Rozumiem—odpowiedział William.—Proszę jednak wyjaśnić mi w jaki sposób doszliście do tego szczęśliwego stanu; gdyż, otwarcie mówiąc, ta zmiana wydaje mi się większą i znacniejszą, niż wszystkie inne w dziedzinie polityki, własności, przestępstwa lub rodziny.“

„Pod tym względem masz Pan rację — można nawet powiedzieć, iż wszystkie te ostatnie zmiany, tylko dzięki tamtej możliwości się stały“.—Hammond wchodzi w bliższe objaśnienie tej kwestyi. „Ze wszystkiego, co słyszymy i czytamy—powiada—jest oczy-

wistem, iż ludzie z końca XIX w. wpadli pod względem produkcji towarów w prawdziwe błędne koło, z którego nie było wyjścia. Doszli oni do niesłychanej doskonałości w wytwarzaniu towarów i, by jaknajlepiej doskonałość tę zużytkować, stworzyli... albo raczej dali rozwinąć się olbrzymiemu systemowi kupna-sprzedaży, zwanemu rynkiem wszechświatowym, i ten rynek zmuszał ich do produkowania coraz większej ilości towarów, niezależnie od tego, czy one będą spożyte, czy nie. W ten sposób wytwarzano—obok rzeczy niezbędnych—olbrzymią masę niepotrzebnych, i te pod jarzmem żelaznem rynku wszechświatowego otrzymały takąż samą ważność jak i tamte. W ten sposób ludzie byli obarczeni niesłychaną masą pracy, tylko dlatego, by nędzny ten system mógł ciągle funkcjonować. A ponieważ uginali się pod ciężarem niepotrzebnej produkcji, stało się więc dla nich niemożliwością spoglądać na pracę i jej owoce z innego punktu widzenia, niż z następującego: wytworzyć jaknajwięcej towarów z jaknajmniejszym nakładem pracy. Temu obniżeniu kosztów produkcji było poświęcone wszystko: przyjemność, którą pracujący mogliby znaleźć w swej pracy, wszystkie jego potrzeby, zdrowie, pokarm, odzież, mieszkanie, wczas, rozrywki — całe jego życie. Wszystko to schodziło na plan ostatni i nie miało żadnego znaczenia wobec konieczności „taniego wytwarzania“ rzeczy, których wogóle nawet wytwarzać nie było warto. Wszystkie interesy ogółu były rzucone na pastwę potworu, zwanego „tanią produkcją“. Przytem nikt ani myślał dbać o takie drobnostki, jak jakość towarów, wystawionych na sprzedaż. Najlepsze ich towary były średnią tandetą. Było nawet przyjętym żartem po-

wiadać: towary sprzedawane są dla sprzedaży, a nie dla spożycia... Istniał wówczas tylko jeden rodzaj dóbr, które pod każdym względem były dobrze robione: były to *maszyny*, których używano do wytwarzania towarów. Były to skończone arcydzieła, pod każdym względem zastosowane do swych celów, tak, iż słusznie można mówić, iż największym czynem XIX stulecia było wyrabianie maszyn, tych prawdziwych cudów wynalazczości, staranności i cierpliwości; ale służyły one tylko do produkowania niesłychanej masy bezwartościowych przedmiotów. W rzeczy samej, posiadacze maszyn nie zważali bynajmniej na to, jakie przedmioty spożycia one wytwarzają, lecz tylko czy ich wzbogacają, czy nie... W ten sposób wiek XIX doszedł do położenia człowieka, któremu zginęła odzież podczas gdy się kąpał, i potem musi chodzić nago po mieście.

„Obecnie wszystko to się zmieniło. Rzeczy, które robimy, są robione dlatego, iż ich potrzebujemy, robimy je równie dobrze dla bliźnich jak i dla samych siebie, a nie dla jakiegoś nieokreślonego rynku, o którym nic nie wiadomo, i który wymyka się z pod wszelkiej kontroli. A ponieważ niema wcale kupna-sprzedaży, byłoby więc zupełnym nonsensem wytwarzać towary na chybił-trafił, opierając się jedynie na przypuszczeniu, iż ktoś je zużytkuje. W ten sposób wszystko, co wytwarzamy, jest dobre i zastosowane do swego celu. Oprócz tego wiemy dokładnie czego nam potrzeba, i nie wytwarzamy nigdy więcej nad to. A ponieważ nie jesteśmy zmuszeni produkować masy rzeczy niepotrzebnych, mamy więc dość czasu i środków po temu, by spoglądać na wytwarzanie rzeczy niezbędnych jako na przyjemność. Każda praca, która byłaby tru-

dną do wykonania w sposób ręczny, wykonaną zostaje za pomocą nadzwyczaj udoskonalonych maszyn; tę, której wykonanie stanowi przyjemność, wyrabiamy bez maszyn; nikomu zaś trudno nie jest znaleźć taką pracę, która bardziej mu do smaku przypada i odpowiada jego zdolnościom i skłonnościom. Nieraz przychodziliśmy do przekonania, iż wytworzenie pewnego towaru jest nazbyt uciążliwe lub nieprzyjemne, i dlatego wyrzekaliśmy się tych przedmiotów. Teraz, sądzę, zrozumiesz Pan, że przy takich warunkach każda praca jest zajęciem mniej lub więcej przyjemnem dla ciała i ducha i że zamiast uciekać od pracy, każdy jej szuka. Ponieważ z pokolenia w pokolenie ludzie nabywają coraz więcej wprawy i biegłości, praca zatem staje się powoli tak łatwą, iż wydaje się jakoby coraz mniej wytwarzano, jakkolwiek w rzeczywistości dzieje się odwrotnie. I przypuszczam, iż stąd właśnie pochodzi obawa, iż może z czasem być zbyt mało pracy.“

„Czy Pan istotnie sądzisz, że można się obawiać braku pracy?“

„Nie, nie sądzę — odparł Hammond — i powiem panu dlaczego. Każdy stara się, oczywiście, uczynić pracę swą przyjemniejszą, a to ma za skutek naturalny, iż wykonanie jest coraz staranniejsze, albowiem nikt chętnie nie oddaje się pracy, któraby mu honoru nie czyniła; dlatego każdy całą swą duszę wkłada w pracę. Oprócz tego istnieje mnóstwo rzeczy, które należą do zakresu pracy artystycznej, dzięki czemu wielka liczba biegłych pracowników znajduje zajęcie. A jeżeli sztuka jest niewyczerpalną, toż samo powiedzieć można i o nauce. Jakkolwiek nie jest ona

dziś uważana za jedyne zajęcie godne ludzi zdolnych duchowo, jak to się niegdyś działo, istnieje jednak i zawsze istnieć będzie i ludzie będą pociągani do niej przez trudności zdobywczy naukowych, przeto też i większą wagę przypisywać muszą nauce, niż czemukolwiek bądź innemu. Przytem sądzę, iż podejmiemy znowu niektóre gałęzie pracy, niegdyś porzucone, dlatego, iż nie umieliśmy w nich trudów sobie uprzyjemnić.

„Wreszcie, to tylko w częściach naprzód posuniętych Europy może być mowa o obawie braku pracy. Te zaś kraje np., które niegdyś były koloniami Anglii, a także kraj, który niegdyś się zwał Stanami Zjednoczonymi, są dla nas źródłem wielkiej pomocy i długo niem jeszcze będą. Gdyż kraje te, a zwłaszcza dzielnica północna Ameryki, cierpiały pod jarzmem cywilizacji tak okropnie, życie tam było tak surowe i nieznośne, iż we wszystkim, co uprzyjemnia istnienie, pozostały jeszcze bardzo w tyle. Wogóle zaś powiedzieć można, iż kraje Ameryki północnej potrzebowały koło stu lat, zanim z cuchnących gór brudu, jakimi były ich miasta, porobiono znośne miejsca pobytu; i pozostaje tam wiele jeszcze do zrobienia, zwłaszcza, iż przestrzeń jest tak wielka.“

Gdy tak rozmawiali, do pokoju weszli Ryszard i Klara, piękni, zadowoleni i szczęśliwi. Stary Hammond spoglądał na nich, jak artysta zachwycający się swoim dziełem, które mu się tak udało, jak sobie tego życzył. Dalszą rozmowę przerwał wesół srebrny dzwon, zapraszając obecnych do obiadu. Klara wzięła rękę Williama, za nimi poszli obydwaj Hammondownie i wszyscy czworo udali się na plac, ku które-

mu już podążał potok pięknie odzianych ludzi. Przed wspaniałą, bogato rzezbami ozdobną bramą gmachu publicznego młode, piękne dziewczę, rozdawało wchodzącym bukiety kwiatów. Wstąpili następnie do wielkiej sali, której ściany ozdobione były artystycznymi freskami. Przedstawiały one legendy i opowieści z czasów dawno przebrzmiałych. Gdy William wyraził swe zdziwienie, iż takie sceny są tu jeszcze przedstawione, stary Hammond odpowiedział:

„Nie rozumiem czemu Pan się dziwisz. Każdy zna te opowieści; są one nadzwyczaj wdzięczne i nie nazbyt tragiczne, jak na miejsce, w którym ludzie zwykle jedzą, piją i bawią się.“

„Istotnie — rzekł William, śmiejąc się — nie spodziewałem się znaleźć tu przedstawienia „Siedmiu łabędzi.“ „Króla złotej góry,“ „Wiernego Henryka“ i tym podobnych bajek fantastycznych, z czasów dzieciństwa Ludzkości, które Jakób Grimm, niegdyś zebrał. Sądziłem, iż takie dziecinne opowieści wcale was nie zajmują.“

Ryszard jednak oburzył się na to:

„Czemu Pan tak myślisz? Uważam opowieści te za nader, nader piękne. Gdy byliśmy dziećmi, urzezywistniały się one na każdym spacerze, w każdej zarośli leśnej i każdym biegu rzeki. Każdy dom w polu był dla nas domem króla z krainy wieszczeń.“

Obiad upłynął przy takich rozmowach. Jadło było doskonałe, przyrządzone z biegłością i sztuką; nie było tu jednak ani smakoszostwa, ani wyszukania: wszystko proste, jakkolwiek wyborowe. Szkła i porcelany, naczynia i przyrządy sprawiały prawdziwą uciechę oku Williama, gdyż wszystko utrzymane było w stylu czysto średniowiecznym: również meble

i inne urządzenia salonu. Brakło w zupełności tego, co w XIX stuleciu zwano komfortem, t. j. brakło niewygody wszystkiego, co jest zbyteczne.

Gdy po skończonym obiedzie wszyscy czworo zasiedli koło butelki szlachetnego bordeaux, Klara wróciła ponownie do kwestyi obrazów; rzekła, spoglądając na ściany: „Jak to się dzieje, iż artyści, piszący wiersze, lub malujący obrazy, tak mało i rzadko przedstawiają życie współczesne, albo, jeżeli to czynią, starają się, by poemat lub obraz były jaknajmniej podobnymi do życia? Czy nie jesteśmy dość dobrymi, by nas samych przedstawiano? I czemu to się dzieje, iż dla nas tak interesującymi są okropne czasy przeszłości w obrazach i poematach?“

Stary Hammond, uśmiechając się, odparł: „Tak było zawsze i sędzę, iż zawsze tak będzie; i zresztą jest to łatwem do objaśnienia...“

„Jest bardzo naturalnem — przerwał Ryszard — iż te dziwne, cudowne rzeczy taki czar wywierają na ludzi. Mówiłem właśnie poprzednio, iż jako dzieci przedstawialiśmy sobie chętnie to i owo, przenosiliśmy się wyobraźnią w różne miejscowości, i to miało dla nas wielki urok. W taki właśnie sposób działają na nas te poezye i malowidła.“

„Zgadłeś — rzekł stary Hammond — te obrazy fantastyczne budzą z uspienia dziecięcą stronę naszej natury. Dopóki jesteśmy dziećmi — dodał — czas ubiega nam tak powoli, iż wierzymy, że starczy nam życia na wszystko.“

Westchnął i rzekł, uśmiechając się: „Będziemy więc radośni, iż ponownie odnaleźliśmy swoje dzieciństwo. Piję za czasy, które są!“

Po skończonym obiedzie stary Hammond posyła Ryszarda z żoną na przechadzkę, sam zaś każe sobie podać jeszcze jedną butelkę wina i prowadzi w dalszym ciągu swą, przerwana, z Williamem pogawędkę. Popołudniowe słońce świeciło, iskrząc się w czerwonym winie ich zgrabnych, pięknych kielichów. William zapytuje się: w jaki sposób nowy ustrój się ustalił?

„Byłoby nadzwyczaj trudnem, niemożliwem nawet — opowiedzieć Panu cały przebieg tej sprawy: wiedzę, niezadowolenie, zdradę, rozczarowanie, ruinę, nędzę, zwątpienie; wszystko to było i współdziałało. Ludzie musieli przejść przez wszystkie te plagi; większość przyglądała się przez cały ten czas ewolucyi, która się odbywała przed nimi, nie rozumiejąc jej, jako coś nieuniknionego i niezrozumiałego, w rodzaju wschodu i zachodu słońca — i tak też właściwie było.“

Dziwna rzecz, iż Morris, który był, jak to widzieliśmy, przeciwnikiem wszelkich kataklizmów społecznych, wkłada pod tym względem Hammondowi w usta obraz dyszący burzą. Nie będziemy się wszakże nad tą stroną, mniej ważną, zastanawiali.

Cała część „Wieści z Nikąd“, wyłożona w tym rozdziale, polega głównie na rozmowach Williama z Hammondem, co ją czyni artystycznie słabszą; jest ona jednak ważna dla poznania poglądów teoretycznych autora. Widzimy, iż we wszystkich swych poglądach na rodzinę, politykę, własność, wytwarzanie, znacznie się on oddala od powszechnie przyjętych, wszystko to jednak nie jest tak bardzo chimerycznym. Może tylko autor zbyt silnie nalega na powrót do pracy ręcznej, jakkolwiek maszynowej w zu-

pełności się nie wyrzeka. Zbytecznemi także wydają się wszelkie obawy braku pracy. Głównie jednak zastanawia to, iż sprawom, zaprzatającym umysł człowiekowi społeczeństwa idealnego Morris nadaje charakter nazbyt lokalny. Pozbawia on Ludzkość tych burz i niepokojów duchowych, które były źródłem cierpień, ale także i wielkich rozkoszy, i nadawały życiu czar niepojęty.

ROZDZIAŁ VII.

Powróćmy wszakże do naszych podróżników. Przenocowawszy u Hammonda i pożegnawszy się z nim, siedli do łodzi, udając się do Oxfordshiru na śniadanie. Był to spacer rozkoszny. Ryszard sterował. William i Klara gwarzyli, spoglądając na piękne brzegi Tamizy. Dopiero przy świetle księżyca zatrzymali się w Runnymede. Wstąpili na brzeg, szukając miejsca, gdzieby można było rozbić namioty — sprowadzili ze sobą dwa. Naraz wyszedł na spotkanie ich starzec i, przywitawszy się, zaprosił do siebie. Klara podała mu rękę, William i Ryszard szli za nimi.

Klara zachwyciła się pięknem ubiegłego dnia, a towarzysz jej, przystanawszy, zapytał się: „A więc pogoda istotnie tak się Pani podoba?“ — „A jakże — rzekła — a Panu?“ — „Tak sobie — odparł. — Takie gorąco lubilem, gdym był młodszy; teraz wolałbym trochę chłodu.“ Tak rozmawiając, doszli do domu, otoczonego ogrodem, pełnym kwiatów. Zapach ich był tak rozkoszny, iż Klara zatrzymała się z zachwytem, szepcząc: „Oh!“

„Co się stało?“ — zapytał się starzec dość opryskliwie — nie ma tu psów... A może Pani nastąpiła na

cierń i skaleczyła sobie nogę? — „Nie, nie, sąsiedzie, ale jakże tu jest rozkosznie.“ „Naturalnie, jest tu nie brzydko, ale niema znowu nic do podziwiania.“

Wszyscy roześmieli się wesoło. Wstąpili do schludnego i bogato umeblowanego pokoju; główną zaś jego ozdobą było młode, jasnowłose i siwookie dziewczę, mające twarz, ręce i obnażone nogi mocno opalone na słońcu. Odziana była nader lekko, ale wytwornie i bogato — suknię miała jedwabną. Widząc gości, zeskoczyła z krzesła, klasnęła w dłonie, i ciesząc się przybyciem towarzystwa, zaczęła tańczyć.

„Czego się tak radujesz, Heleno“ — zapytał się starzec.

Opasała mu szyję ramionami, mówiąc: „Cieszę się, dziadku, i chcę, byś ty także się cieszył.“

„Dobrze, dobrze — odparł — cieszę się jak mogę. Proszę jednak siadać“ — zwrócił się do gości.

Wszystko to wydało się dziwnem Williamowi, a gdy starzec wyszedł na chwilę, Ryszard szepnął mu na ucho: „Jest to niezadowolony. Dotrwało ich jeszcze trochę. Powiadają, iż dawniej stanowili prawdziwą klęskę kraju.“ Starzec powrócił i usiadł z westchnieniem, które wydawało się obliczonem na to, by obecni je słyszeli. Tymczasem przyniesiono kolację, złożoną z bardzo smacznych potraw i napojów. Stary jednak spoglądał z niezadowoleniem na główny półmisek, na którym leżało kilka leszczów, i rzekł: „Hm, leszcze! Żałuję, kochani goście, iż nie możemy ofiarować wam nic lepszego. Był czas, gdy można byłoby poczęstować was dobrym kawałem łososia z Londynu, ale teraz czasy nastały złe.“

„Ależ, dziadku — rzekła dziewczyna, śmiejąc się,

mógłbyś i teraz mieć łososia, gdybyś był wiedział, iż goście nam przybędą.“

„Jest to nasz błąd — rzekł Ryszard — iż nie przynieśliśmy z sobą łososia. Zresztą, jeżeli czasy stały się złemi, to nie leszcze. Ten, na przykład, na środku waży ze dwa funty... Ja, z mej strony, nie nie słyszałem o pogorszeniu się czasów.“

Starzec zwrócił się wówczas do Williama i grzecznie zapytał:

„Jestem bardzo szczęśliwy, mój Panie, iż mogę widzieć kogoś z tamtej strony wody, i pozwolę sobie postawić Panu kilka pytań.“

„I owszem, proszę.“

„Naprzód, czy istnieje jeszcze w kraju, z którego Pan pochodzi, współzawodnictwo na dawną modłę?“

„Tak — odparł William — jest ono u nas regulą.“

„Powtóre, czy nie jesteście dzięki temu wogóle wolniejsi, energiczniejsi — jednym słowem, zdrowsi i szczęśliwsi od nas?“

William uśmiechnął się. „Nie mówiłbyś Pan tak — odparł — gdybyś miał jakiekolwiek pojęcie o naszym życiu. Mam wrażenie, jakgdybyście wy żyli w niebie, w porównaniu z życiem w tym kraju, z którego ja pochodzę.“

„W niebie? — rzekł gospodarz. — Czy lubisz Pan niebo?“

„Naturalnie“ — odparł William z rozdrażnieniem.

Gospodarz: „Co do mnie, bynajmniej nie podzielam tego zdania, gdyż można spędzić życie na czemś lepszym od wysiadzania na wilgotnych obłokach i śpiewania hymnów.“

William rozniewał się i rzekł: „Sąsiedzie, powiem Wam krótko, w kraju, z którego pochodzę, gdzie współzawodnictwo, tak miłe Panu, jeszcze panuje, większość ludzi jest bardzo nieszczęśliwa, gdy tu, tak przynajmniej mi się wydaje, wszyscy są szczęśliwi.“

„Nie bierz mi Pan tego za złe — odparł — ale zapytam się Pana: czy nasze t. zw. szczęście podoba się Panu?“

Wszyscy roześmieli się wesoło.

„Ze wszystkiego, co słyszę — mówił dalej gospodarz — wnoszę, iż dziewczę tak ładne jak moja Helena byłoby za dawnych czasów damą, jak wówczas mówiono, zamiast nosić, jak teraz, kilka jedwabnych łachów i opalać się na słońcu. Co Pan o tem myślisz?“

Klara, która dotychczas milczała, wmieszała się do rozmowy: „Nie wierzę, by jej lepiej być mogło, ani też, by warunki obecne potrzebowały zmiany. Czy nie widzisz Pan, iż Helena na tę piękną pogodę wymienienie jest odziana, a jeżeli słońce ją opaliło przy sianożęciu, to spodziewam się, że i mnie także opali w dalszej podróży. Moja blada skóra wymaga trochę słońca.“ Helena ucałowała nową przyjaciółkę i zanuciła rzewną piosnkę, której wszyscy z zachwytem słuchali; potem zaprowadziła gości do pokojów, które dla nich były przeznaczone.

William wstał następnego dnia nader wczesnie. Nie mógł długo się wylegiwać, gdy świat cały tchnął koło niego życiem radosnem. Zjadłszy śniadanie, które było przygotowane, i nie słysząc nikogo w domu, wyszedł, pochodził po ogrodzie i udał się w końcu na pola. Na brzegu rzeki zauważył jeszcze

cztery inne domki, podobne do tego, w którym nowocował. Na łakach układano już siano w stogi. William udał się do jednej grupy, chcąc zobaczyć jak wyglądają kosiarze w tych nowych, szczęśliwych czasach. Miał przed sobą długi szereg osób, głównie kobiet i dziewcząt, odzianych tak, jak Helena poprzedniego wieczora, wszakże nie w jedwabiu, lecz w lekkich wełnianych szatach, o ładnych deseniach. Mężczyźni nosili jasną odzież flanelową. Różnobarwne ich ubrania sprawiały na tem polu wrażenie łąki, pokrytej tulipanami. Wszyscy pracowali dobrowolnie, ale dobrze i starannie. Kilka osób, mężczyzn i kobiet, przystąpiło do Williama, witając go uściśnieniem dłoni, i po chwilowej pogawędce powrócili do pracy. Wkrótce przybyli także na łąkę Ryszard i Klara; była ona już odziana równie lekko jak i Helena; miała nogi bose, obute tylko w drobne sandały.

Po pewnym czasie wszyscy powrócili do domu, gdzie gospodarz przyjął ich z serdecznem przywitaniem, i zaczął znowu wychwalać stare, dobre czasy. Goście jednak nie mogli mu dać wielkiego posłuchu, gdyż było już późno i dzień obiecywał być bardzo gorącym.

Gospodarz z Heleną odprowadzili naszych przyjaciół do łodzi. Helena była zamyślona, starzec — serdeczny i grzeczny, jakby chciał zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, które sprawił. Klara była roztargniona i wydawało się, iż nie jest jej nieprzyjemnem, że odjeżdżają; William zauważył nawet jak ukradkiem spoglądała na Helenę, podziwiając dzikie jej piękno.

William ujął za ster, Ryszard wiosłował, i łódź odbiła od brzegu. Przez całą drogę Klara była bardzo czuła z Ryszardem, on zaś wciąż nieprzymuszonym, rzeźwym i wesołym. Cieszyło to Williama, gdyż rozumiał, iż człowiek z temperamentem Ryszarda nie mógłby bez kłopotu odpowiadać na tę czułość, gdyby czarodziejka Helena choć trochę była go usidlila.

Podróż była wciąż równie wdzięczną i przyjemną jak dnia poprzedniego. Na noc zatrzymano się u Waltera Allena, dobrego przyjaciela Ryszarda. Był to mężczyzna czterdziestoletni, wysoki, zgrabny, czarnowłosy. Przyjął ich serdecznie, ale na twarzy jego można było zauważyć oczywiste ślady smutku. Był przytem zamysłony, roztargniony i przymuszał się tylko, by prowadzić rozmowę z gośćmi. Ryszard wydawał się mocno zaniepokojonym tem wszystkim i po chwili namysłu odezwał się: „Słuchaj, stary przyjacielu, jeżeli tu się stało coś niezwykłego, to powiedz nam otwarcie, gdyż inaczej pomyślimy, iż przybyliśmy w nieodpowiednią porę.“

Walter odparł: „Jesteśmy Wam wszyscy nadzwyczaj radzi, ale u nas istotnie stało się nieszczęście — wypadek śmierci“.

„Ależ — rzekł William — należy się wznieść ponad to; są to rzeczy nieuniknione“.

„Tak, ale była to, niestety, śmierć gwałtowna, która grozi drugą, a może nawet i trzecią. Jesteśmy z tego powodu wszyscy zaniepokojeni, a nawet nieufnością wzajemną ogarnięci. Jest to także powód, dla którego dziś nas tu tak mało jest“. — Na prośbę Ryszarda Walter opowiada całą rzecz, jak następuje: „Jest tu u nas czarująca dziewczeczka, którą wszyscy nadzwyczaj lubimy, a niektórzy z pomiędzy

nas — więcej nawet, niż lubią. Ktoś spodobał jej się, naturalnie, bardziej niż inni. Jeden z pomiędzy tych ostatnich — imienia jego nie wymienię — ogarnięty naraz szalem miłosnym, przez swe zachowanie się stał się tak niezdolnym, iż dziewczeczka, która dawniej bardzo go lubiła, jakkolwiek nie kochała, poczuła ku niemu prawdziwą niechęć. Naturalnie, iż wszyscy jego znajomi, a między nimi i ja, daliśmy mu radę, by stąd wyjechał, gdyż sam coraz bardziej własne swe widoki sobie psuł. Nie chciał przyjąć naszej przyjacielskiej i rozumnej rady, i byliśmy zmuszeni powiedzieć mu, iż *musi* stąd się oddalić, lub zerwiemy z nim wszelkie stosunki, gdyż jego smutek osobisty wprowadził go w taki stan ducha, iż czuliśmy, że jeżeli nie *on*, to *my* musielibyśmy się oddalić.

„Przyjął to lepiej niż mogliśmy się spodziewać; naraz, niewiadomo dla jakiego powodu — czy wskutek rozmowy z dziewczeczką, czy sceny z rywalem — wyszedł zupełnie z równowagi, schwycił za topór i napadł na współzawodnika, gdy nikogo w pobliżu nie było. W walce, która nastąpiła, napadnięty zadał mu cios, który go zabił. A teraz zabójca jest w takim stanie, iż sam siebie chce zabić; jeżeli zaś to spełni, obawiam się, że i jego ukochana śmierć sobie zada. A wszystkiemu temu równie trudno było zapobiedz, jak i trzęsieniu ziemi, któreśmy mieli w zeszłym roku!“

— „Okropna historia! — zawołał Ryszard — ale człowiek już umarł i do życia przywrócić go nie można, a zabójca nie w złej myśli działał: i dlatego nie rozumiem, czemu nie może wznieść się ponad to, co się już nie odstanie. Nie rozumiem czemu czło-

wiek dla nieszczęśliwego przypadku truć sobie ma życie zgryzotami sumienia? A dziewczeczka?”

„Zdaje się — rzekł Walter — iż cała ta sprawa raczej strachem niż smutkiem ją przepełniła. Co się tyczy *jego*, to prawdą jest, co mówisz; ale rozdrażnienie i zazdrość, które były powodem tragedyi, wywołały w nim stan gorączkowy, z którego jeszcze nie wyszedł. Radziłszy mu, by stąd wyjechał; jest jednak w takim rozstroju, iż sędzę, że pojedzie tylko wówczas, gdy go ktoś zabierze, i podejrzewam, iż na mnie padnie los wyjechania z nim, a to wcale mi przyjemnem nie jest.“ — William słuchał tego opowiadania nadzwyczaj zdziwiony. Naprzód nierozumiał, czemu człowiek, który zabił innego, nie został zamknięty w więzieniu aż do chwili, gdy byłoby dowiedzionem, iż znajdował się tylko w wypadku samoobrony. Im dłużej jednak rozmyślał, tem jaśniejszem stawało się dlań, iż najliczniejsze nawet świadectwa niczego innego nie mogłyby dowieść, jeno tego, że rywale byli zawzięci jeden na drugiego, co zresztą i bez świadectw było oczywistem. Dalej William zauważył, iż zgryzoty sumienia zabójcy stanowią znakomite potwierdzenie poglądów starego Hammonda na przestępstwo i na sposoby jego karania. Zabójca brał, oczywiście, wszystkie skutki swego czynu na siebie samego i nie czekał, by społeczeństwo oczyściło go karą. I William nie obawiał się już więcej, zali świętość życia ludzkiego nie będzie zagrożoną przez brak szubienicy i więzienia...

Gdy następnego dnia z rana nasi podróżnicy udawali się do łodzi, Walter, który ich odprowadzał, wszczął ponownie rozmowę wczorajszą, powiadając, że, jeżeli zabójca nie zechce udać się w dalszą po-

dróż, trzeba będzie znaleźć dla niego gdzieś w okolicy zaciszny kącik, gdzie-by mógł spędzić jakiś czas. Na to Ryszard powiedział: „Nie pozwalajcie wy temu człowiekowi nazbyt zagłębiać się w tej tragedyi, skazując go na samotność. Dopniecie tylko tego, iż jeszcze bardziej się utwierdzi w mniemaniu, że dokonał przestępstwa, i ostatecznie doprowadzicie go do tego, że się zabije“.

Klara zaś rzekła co następuje: „Jeżeli mam powiedzieć jak mi się ta sprawa przedstawia, to sędzę, że byłoby najlepiej, gdyby mu pozwolono teraz wychylić do ostatka jego kielich smutku: wówczas sam się przekona, jak niesłusznie się uważa za niegodnego życia; później już będzie sobie żył szczęśliwy. Nie obawiam się, by się dopuścił samobójstwa, gdyż ze wszystkiego, co Pan powiadasz, widzę, iż kocha nadzwyczaj tę dziewczeczkę i, otwarcie mówiąc, tak długo, jak miłość jego jest niezaspokojoną, będzie on, o ile możliwości, pragnął żyć — i to, zdaniem mojem, wyjaśnia zarazem, dla czego on całą tę sprawę wziął w sposób tak tragiczny.“ — Walter zaproponował Ryszardowi, by go podwiózł do jednej z sąsiednich miejscowości, gdzie spodziewał się znaleźć dom odpowiedni dla nieszczęśliwego towarzysza.

„Czy dom ten jest pusty?“ — zapytał się William.

„Nie — rzekł Walter — ale osoba, która w nim mieszka, chętnie go nam ustąpi, dowiedziawszy się o co chodzi. Spodziewamy się, iż świeże powietrze i prostota krajobrazu tamtejszego dobrze wpłyną na naszego przyjaciela.“

„I — dodała Klara, uśmiechając się — nie będzie oddalony od swej ukochanej. Będą mogli się widywać, gdy zechcą.“

Rozmawiając tak, odbili od brzegu i znaleźli siwkrótce pośrodku pięknej, szerokiej rzeki. Upłynąwszy niedaleko, zauważyli kilka młodych dziewcząt, które bawiły się na mchu przybrzeżnym. Przywitały ich serdecznie i wypadło znowu zatrzymać łódź, by trochę pogawędzić. Przyszły tu do kąpieli, którą właśnie ukończyły — były bose i lekko odziane — i miały zabrać się wkrótce do sianożęcia. Chciały wziąć przybyszów z sobą na śniadanie i do pracy, ale Ryszard wymówił się brakiem czasu. William zauważył w rozmowie, iż te piękne dziewczęta, również jak każdy, kogo spotykał, chętnie rozmawiały o drobnych szczegółach życia, o pogodzie, sianożęciu, o sąsiednich domach, ptakach i t. d. Rozmawiano jednak o tych rzeczach, nie w sposób mechaniczny i oparty tylko na przyzwyczajeniu, lecz z prawdziwem, żywem zajęciem.

Zauważył również, iż kobiety miały także samo wykształcenie jak i mężczyźni. Ukształcenie to zmieniło gruntownie jego dawniejsze poglądy na życie wiejskie; dawniej powiadano — i ze słusnością — iż wieśniacy poza obrębem swej pracy nie prawie o otaczającym ich kraju nie wiedzą; obecnie mieli oni jasne pojęcie o wszystkim, co się działo w polach, lasach, wodzie i powietrzu; znali nazwy i właściwości zwierząt, roślin, kwiatów, ptaków i ryb. Oprócz ptaków oswojonych William spostrzegł także mnóstwo drapieżnych; zauważył także, iż czasy stróżów leśnych i złodziei leśnych się skończyły. Niedaleko od miejsca, gdzie nasi podróżnicy spotkali tych kilka ładnych dziewcząt, budowano właśnie dom i dziewczęta te przekomarzały się z chłopcami, zajętymi przy budowie. Klara zaproponowała, by pójść przyrzec się ich pracy. Udano się tam. Spotkał ich męż-

czynna czterdziestoletni, w białym kitlu mularskim; na rusztowaniu pracowało ze sześć osób, mężczyzn i kobiet, które także nosiły bluzy mularskie. Tylko jedna z nich nie pracowała i nosiła piękną, pełną smaku odzież. Służy ona za model pani Filipiny, rzeźbiarki, która zdobi nowy dom płaskorzeźbami. Wkrótce zobaczyli i samą panią Filipinę, drobnego wzrostu kobietę, z młotem i dłutem w rękę, tak zagłębianą w pracę, iż nie odwróciła się nawet, gdy nasi podróżnicy się przybliżyli. Kobieta służąca za model położyła rękę na ramieniu rzeźbiarki i rzekła: „Słuchaj, Filipino, jeżeli nadal tak wytrwale pracować będziesz, jak dotychczas, to wkrótce nie będziesz miała roboty: i cóż się wówczas z tobą stanie?“

Rzeźbiarka odwróciła się szybko, pokazała twarz kobiety czterdziestoletniej i rzekła z pewnem rozdrażnieniem:

„Nie mów głupstw, Katarzyno, i nie przerywaj mi.“ Naraz zatrzymała się i, uśmiechając się przyjaźnie do przybyszów, rzekła: „Dziękuję wam sąsiedzi, iż przyszliście nas odwiedzić; wybaczcie mi, iż przy was pracować będę; przez cały kwiecień i maj byłam chora i nie mogłam pracować. Świeże powietrze, słońce i praca wraz z pocuciem, iż znowu jestem zdrową, sprawiają mi tak wielką rozkosz, iż od roboty odrywać się nie chcę.“ Powróciła do swej płaskorzeźby, złożonej z kwiatów i postaci, co jej zresztą nie przeszkadzało brać udziału w rozmowie.

Główny mularz oświadczył przybyszom, iż dom, który tu budują, będzie najpiękniejszym w okolicy, i to głównie dzięki pracy pani Filipiny. Byłby już dawno ukończonym, gdyby nie jej choroba. Jest ona najlepszą naszą rzeźbiarką — dodał — i nie podobna było

rozpocząć roboty bez niej. Widzicie więc — mówił do Ryszarda i Williama — iż nie mogliśmy pójść do sianożęcia, nieprawda? Przy tej pięknej pogodzie ukończymy jednak naszą pracę tak szybko, iż pozostanie nam osiem lub dziesięć dni na pokos pszenicy. Przychodźcie wówczas na nasze pola, a zobaczycie do-
brych żenców.“

„Hura! Dobryś! — odezwał się głos z górnego rusztowania — nasz pan starszy uważa żenie za pracę łatwiejszą niż kładzenie kamienia na kamieniu.“

Okrzyk ten wywołał śmiech powszechny, w którym i sam ów starszy wziął udział. Tymczasem jeden z chłopców postawił stół w cieniu blizkiego drzewa, a na stole pojawiła się wielka, opleciona słomą butelka i kilka wysokich szklanek. Kierujący robotami zaprosił gości do stołu i zawołał: „Ej, wy, na górze, czy przyjdziecie wypić z nami szklankę?“ Trzej robotnicy z niesłychaną szybkością spuścili się po drabinie. Inni pozostali na górze, a jeden z nich rzekł:

„Wybaczenie nam, sąsiedzi, iż nie przyjdziemy do was: jesteśmy zajęci, a nasza praca nie jest prostem przyglądaniem się, jak praca tych lekkoduchów tam na dole; przyślijcie nam jednak po szklance, byśmy mogli wypić za zdrowie żenców.“

Filipina, naturalnie, nawet nie odwróciła się od swej ukochanej pracy, ale córka jej, duże, silne dziewczę, o czarnych włosach i twarzy cygańskiej, wesoło zbliżyła się do stołu, i wszyscy obecni uderzyli w szklanki. Poczem nasi podróżnicy uściskali dłonie pracujących i udali się ku swej łodzi. Gdy oddalili się na kilka kroków, już usłyszeli za sobą dźwięk młotów, który mieszał się z brzękiem pszczoł i śpiewem skowronków na małej dolinie Basildonu.

W miasteczku Wallingfordzie zatrzymano się na obiad. Przy stole podróżnicy poznali starego archeologa miejscowego, imieniem Morsum, który udzielił im wielu bardzo ciekawych wiadomości. Między innemi opowiedział, jak trudno było ludziom powrócić do pracy ręcznej, nawet na wsi, gdyż na schyłku starego społeczeństwa wszystkie prace wykonywano tylko za pomocą maszyn. Otóż, chcąc powrócić do pracy ręcznej, ludzie musieli zwrócić pilną uwagę na to, w jaki sposób maszyny pracują, i odpowiednio je naśladowali. Oprócz tego starsi robotnicy zadawali sobie wiele trudu, by młodszym pokazać zapomniane sposoby i wyrobić w nich biegłość ręki. Ludzie, przywykli dawniej robić wszystko za pomocą maszyn, stali się przezto sami maszynami, niezdolni do wykonania najprostszej pracy ręcznej, która, naturalnie, tylko powoli mogła się doskonalić.

Powód bezpośredni tego zaniku maszyn był następujący: Jedna po drugiej wychodziły one z użycia tej przyczyny, iż wyroby ich nie mogły być wytworami artystycznymi, jakich coraz bardziej wymagano. Z początku powrót ten do pracy ręcznej nie był łatwym, ale teraz — powiada Morsum — zdobyliśmy w zupełności tę sztukę i praca ręczna stała się wyrazem wolnej fantazyi i myśli robotnika. Zdaniem Morsuma, tylko niewolnicy i ich właściciele mogli żyć wyłącznie pracą maszyn. — Prowadzi on gości swych do muzeum, gdzie podziwiają piękno i doskonałość wytworów ludzi, którzy nareszcie zrozumieli, iż na życie i na pracę, służącą do zaspakajania potrzeb życiowych, należy spoglądać jako na przyjemność. Przyjemnością bowiem jest każda praca, którą człowiek sam sobie wybiera i w której wykona-

niu uczestniczy jego myśl i wyobraźnia. To zaś nie może mieć miejsca tam, gdzie do wszelkich, chociażby najdrobniejszych, prac używane są maszyny i gdzie człowiek czuje się w zupełności od nich zależnym. Stary Morsum jedzie z naszymi przyjaciółmi do Oxfordu, by zajrzeć do tamtejszej biblioteki. Gdy zbliżali się wszyscy do łodzi, spostrzegli na rzece drugą, małą łódeczkę, w której znajdowała się nasza znajoma z Runnymede — Helena. Przywitano się serdecznie, wszyscy byli zadowoleni, Ryszard nawet — radosny. Helena w sposób następujący objaśnia swój przyjazd: „Widzicie, sąsiedzi, wątpiałam, czy wszyscy trzej powrócicie do Runnymede. Z drugiej strony mamy wyjechać z ojcem na północ, do stryja, na kilka dni. Obawiałam się więc, iż nigdy już więcej was nie zobaczę. Było to dla mnie przygnębiające — i oto pojechałam za wami.“

„Cieszy to nas wszystkich niezwykle — rzekł Ryszard. Co się tyczy Klary i mnie, to może Pani być pewna, żebyśmy powrócili do Was, i nawet drugi raz, gdybyśmy Was odrazu nie byli znaleźli. Ale Pani jest sama w swej łódce i pewno silnie wiosłowała; powinnaś Pani teraz odpocząć. Podzielimy więc nasze towarzystwo na dwa.“ „Tak — rzekła Helena — pomyślałam o tem i przywiozłam z sobą ster. Czy zechce Pan pomódz mi do założenia go?“

Ryszard i Helena zaczęli się krzątać koło tej operacji; łodzie ich zbliżyły się przytem na chwilę tak, iż William poczuł jakby ból wewnętrzny. Klara zaś zapytała się głuchym głosem Ryszarda: „Jakże się rozdzielimy? Czy nie zechcesz pójść do łodzi Heleny, gdyż ty — nie chcę tem obrazić naszego gościa — lepiej sterujesz?“ „Nie, nie“ — odparł Ryszard,

protestując — niechaj gość spróbuje, jak może, niechaj się ćwiczy w sterowaniu.“

William wskoczył do łodzi Heleny i wziął się do pracy. „Muszę wyznać — powiada — iż szczęśliwy ten świat wydawał mi się jeszcze szczęśliwszym dlatego, iż siedziałem tak blisko tej wspaniałej dziewczyny.“ Przy zachodzie słońca zbliżyli się do Oxfordu który zachował wszystkie swe wieże i wieżyczki. Tu stary Morsum ich opuścił, a w godzinę później przybili do małej miejsciny, gdzie stanęli na nocleg w pustym domu, którego mieszkańcy nocowali po żniwie na polu, w namiotach.

Następnego dnia Helena siadła znowu do tej samej łodzi, co i William, usprawiedliwiając się w sposób następujący: „Nie chcę pozostawać w towarzystwie kogoś, co wciąż o kim innym myśli. Otóż gość jest jedyną osobą, co należycie potrafi ze mną rozmawiać. Myślę tak naprawdę — rzekła, zwracając się do Williama — powiedziałam to tylko nie z prostej grzeczności.“ Klara poczerwieniała i wydawała się bardzo szczęśliwą. William pomyślał, iż dawniej prawie obawiała się Heleny, sam zaś poczuł się odmłodzonym i czarowne nadzieje młodości mieszały się z rozkoszą chwili obecnej, sprawiając jakiś ból niewyraźny.

Helena rzekła w rozmowie: „Przed dzisiejszym wieczorem będę jeszcze wiedziała, jak małym krajem jest nasza Anglia, gdyż tak prędko mogliśmy dotrzeć do końca największej jego rzeki.

William: „Kraj nasz jest nie wielki, ale piękny.

Helena: „Trudno jest przenieść się myślą do czasów, gdy ten piękny kraj był traktowany przez swych mieszkańców tak, jakgdyby był okropną, szarą pu-

stynią — nie zważano na jego miły wdzięk, który wymaga troskliwości — na zmiany pór roku, z ich wciąż nowymi urokami, na bogatą rozmaitość gleby i inne czary naszej ojczyzny. Jak ci ludzie mogli być tak okrutnymi względem samych siebie?

„I jedni względem drugich — rzekł William, a po krótkim namyśle dodał: „Powie Pani otwarcie, iż mnie jest łatwiej przenieść się w te czasy okropne, gdyż sam byłem ich częścią. Widzę, iż Pani odgadła cośkolwiek z tego“.

Po kilku chwilach milczenia Helena odparła: „Zrozumiałeś Pan słusznie i, prawdę powiedziawszy, muszę wyznać, iż za Panem w ślad pojechałam z Runnymede, by zadać Panu kilka pytań, gdyż widziałam, iż Pan do nas nie należy. Zainteresowało mnie to, spodobało się i chciałam uczynić Pana tak szczęśliwym, jak tylko można. Nie było to jednak bez pewnego niebezpieczeństwa — dodała — ze względu na Ryszarda i Klarę; i teraz, gdy jesteśmy tak dobrymi przyjaciółmi, mogę Panu powiedzieć, iż nawet u nas, gdzie jest tyle pięknych kobiet, byłam często dla mężczyzn przyczyną nieszczęścia. Był to jeden z powodów, dla których mieszkałam samotnie z ojcem w Runnymede. Opowiadano o mnie niesłychane rzeczy.“

Pomimo swych lat podeszłych William czuł się niewymownie młodym i szczęśliwym w towarzystwie tej czarującej dziewczeczki i skłonny był uważać jej wyznania za coś więcej niż za to, czem one były w rzeczywistości.

Helena rzekła następnie, iż ojciec ma zamiar opuścić z nią te strony. „Muszę wyznać — dodała — że niechętnie opuszczam daną miejscowość, gdyż tak

łatwo przyzwyczajamy się do wszystkich szczegółów otaczającego nas życia! Zgadza się ono z naszym własnym życiem tak harmonijnie i szczęśliwie, że sprawia to nam wciąż ból, gdy mamy na nowo je rozpoczynać! Ale w kraju, skąd Pan pochodzi, pogląd taki może jest uważany za małostkowy i nudny, i Pan wytworzy sobie złą opinię o mnie.“

„Bynajmniej — odparł — wyraża Pani tylko własną myśl moję. Ale wcale się nie spodziewałem, iż Pani tak mówić będzie. Ze wszystkiego, co słyszę, sądziłem, iż wy u siebie bardzo często zmieniacie miejsce pobytu.“

„Tak — rzekła Helena — ludzie mogą się swobodnie poruszać, ale z wyjątkiem podróży dla przyjemności — zwłaszcza jesienią, jak teraz dla sianozęcia, nie sądzę, by chętnie zmieniali miejsce swego pobytu. Co do mnie, to nie zawsze mam zwyczaj pozostawania w domu, jak teraz, i chętnie obiegłabym z Panem cały zachód, o niczem nie myśląc.“ — Tak rozprawiali, jadąc koło brzegu i biorąc najżywszy udział w zmianach otaczającej miejscowości. Zatrzymywali uwagę na każdym zarysie kwiecistego brzegu, na każdej zmarszczce płynącej wody. William nacieszyć się nie mógł, widząc oznaki troskliwości, którą otoczono kochaną jego rzekę i jej brzegi; wszystko tu obliczone było na piękne i radosne użycie bytu i nawet to, co pożyteczne, nosiło na sobie stempel piękna. Tak dojechali do celu podróży i wyszli na brzeg. William spostrzegł rój wesołych, pięknie odzianych mężczyzn i kobiet. Spoglądając na ten cudny krajobraz i na tych ludzi, przecierał oczy, nie dowierzając sobie, iż wszystko to się dzieje na jawie, i obawiając się, że ludzie ci naraz zamieniają się na kilku zgjętych

odartych mężczyzn i obrzydłych, z zapadłemi oczami kobiet, — na takich, jacy niegdyś na tem samem miejscu żyli z dnia na dzień, beznadziejni, przybici i nieszczęśliwi. Ale żadna zmiana nie zaszła. William miał wciąż przed sobą tych miłych i wytwornych ludzi, którzy odrzucili fałszywego mammona, a zdobyli prawdziwe bogactwo. Gdy tak dumiał, Helena ujęła go za rękę i zaprowadziła do starego domu, który pozostał z przeszłości, cały obrosły zielenią i kwieciami. Tu położyła swe piękne, od słońca opalone ramię na mur, pokryty mchem i bluszczem, jakby chcąc go objąć, i zawołała: „Ach, jak ja kocham ziemię, pory roku, blask słońca, deszcze, — wszystko, co rośnie na ziemi, całe jej życie! Ach, gdybym mogła tylko wypowiedzieć, jak ja to kocham!“ Zachwycony pięknem i harmonią wszystkiego, co go otaczało, William wpadł w głęboką zadumę. Helena zapytała: „Porównywasz Pan przeszłość z teraźniejszością, nieprawda?“

„Tak“ — odparł. — „Myślałem o tem, coby się stało z Panią przy jej zdolnościach, intelligencji, chęci użycia i nienawiści wszelkich ograniczeń w owych przebrzmiałych już czasach.“

„Ja Panu powiem — rzekła — coby się ze mną stało w owych czasach ciemności. Sądzę, iż dostatecznie studyowałam historię, by na to pytanie odpowiedzieć. Byłabym jedną z ubogich, gdyż mój ojciec był zwykłym wieśniakiem. Otóż na pewno nie mogłabym znieść tego, i moje piękno, dowcip i rozum byłyby sprzedane bogaczom, a życie moje byłoby zupełnie roztrwonione. Nie zostałby mi żaden wybór, ani wolne rozporządzenie życiem, oddanem na pastwę bogaczom, żadna możność swobodnych działań

i ludzkiego rozwoju. Zginęłabym w ten lub ów sposób — bądź z nędzy, bądź z przesytu.“

„Tak jest, rzeczywiście“ — odparł William.

Dalszą rozmowę przerwał Ryszard zaproszeniem na obiad. Wyszli na pole, pokryte szeregiem namiotów, koło których rozłożyło się mnóstwo mężczyzn, kobiet i dzieci. „Jutro — rzekł Ryszard — będzie nas tu jeszcze więcej. Przy sianozęciu jest miejsce dla wielu, którzy do innych robót polnych nie są zdolni. Wielu także prowadzi życie siedzące. Są to po największej części ludzie nauki, zapamiętałe pracujący głową. Byłoby niepo towaryzku pozbawiać ich przyjemności sianozęcia, i dlatego wprawni żeńcy ustępują im miejsca, a sami odpoczywają...“

„Dziś — mówił dalej — po tych żniwach mamy święto sianozęcia, najradośniejsze z naszych świąt dorocznych, nie wyjmując nawet święta żniw zbożowych, gdy dnie stają się już krótszemi i pomimo wesela nie podobna uwolnić się od myśli o nadchodzących dniach smutku, o pustych polach i ogrodach. Wiosna wówczas jest jeszcze na zbyt daleką, by się pocieszać jej nadejściem. A przytem jesień to doba, w której się prawie wierzy w śmierć.“

„Jak dziwnie wyrażasz się Pan o rzeczy — rzekł William — która wciąż się powtarza i jest czemś codziennem, zwykłym, jak zmiana pór roku!“ Rozumiał jednak, iż ludzie ci są w tych sprawach jak dzieci, i najżywsze zajęcie się okazują dla pogody, pięknych dni, jasnych lub ciemnych nocy.

„Jeżeli spoglądacie — dodał — na przebieg roku jako na piękny i interesujący dramat, to zima ze swą troską powinna dla Was być równie zajmującą i przyjemną jak i pogodna wspaniałość lata.“

„A czyż nie tak jest?“ — zawołał Ryszard z ożywieniem. — „Nie mogę tylko na nią tak się zapatrywać, jakgdybym siedział w teatrze i spoglądał na grę, w której sam nie brałbym udziału! Sądzę, iż jestem częstką wszystkiego, i dlatego wszystkie radości i boleści na sobie odczuwam.“

Widocznem było, iż Ryszard, na swój sposób, również jak i Helena, namiętnie kochał ziemię, co w czasach dawniejszych — myślał William — było udziałem tylko niewielu, gdyż pośród tak zwanych ludzi ukształconych panowało cierpkie uczucie pogardy dla zmiennego widowiska pór rocznych i życia ziemi. Wszak za owych dni uważano za rzecz poetyczną i delikatną spoglądać na życie jako na coś, czego się pozbyć potrzeba, nie zaś jako na przedmiot radości.

Obiad odbywał się w świątyni, do której Ryszard wprowadził Williama. Był to mały budynek w czarującym stylu XIV wieku. Na ścianach nie było żadnych modnych ozdób, tylko pęki kwiatów i zieleni. Kwiaty napełniały także wazon, rozstawione po całej sali. Dwie kosy, jako symbol święta, błyszczały na jednej ze ścian pośród zieleni. Najpiękniejszą wszakże ozdobą przybytku było mnóstwo mężczyzn i kobiet, wytwornych i szczęśliwych, gwarzących wesoło koło stołów.

William wszedł z radosnem uczuciem człowieka przybywającego na święto. Zdął spostrzeżć Klarę i Helenę, które rozmawiały i widocznie go nie zauważyły. Zwrócił się więc do Ryszarda; spodziewając się, iż on go wprowadzi do towarzystwa, ale i on widąc nie spostrzeżł naszego poety, również jak nikt z obecnych. Silny ból ścisnął mu serce. Ryszard

przeszedł koło niego, nie zwracając nań żadnej uwagi. Klara zwróciła się w jego stronę, ale spoglądała jakby w puste miejsce, choć przecież posłał ku niej wzrok błagalny. Helena przez chwilę jakgdyby go poznawała, ale naraz twarz jej stała się smutną, a ona sama odwróciła się w inną stronę. Poeta uczul się niewymownie biednym i opuszczonym. Chwilę się ociągał, aż wyszedł ze świątyni na ulicę, oddalając się ze smutkiem. Na pierwszym zakręcie spotkał postać, która się znajdowała w rażącym przeciwieństwie z pięknymi, szczęśliwymi ludźmi, których dopiero co opuścił. Był to starzec, który mógł mieć około pięćdziesięciu lat. Twarz miał pomarszczoną, odrażającą, brudną, oczy bez wyrazu, załzawione; postać zgiętą, złamaną, nogi cienkie i krzywe. Włókł się bezsilnie w odzieży, która składała się z gałganów i strzępków. Przed przechodzącym Williamem zdjął grzecznie czapkę, ale uczynił to z wyrazem poddańczości. Pełen wstępu, poeta się oddalił — i nie wiedział co się z nim dalej stało.

ROZDZIAŁ VIII.

Przebudziwszy się w swem łóżku, w Hammer-smith, Morris rozmyślał nad wszystkim, co widział. Pytał się: czy go zwątpienie nie opanuje, gdy się przekona, iż wszystko to było snem tylko, i — o, dziwo, czuł, iż zwątpienie go nie ogarnia: był to sen. Czemu jednak poeta miał wciąż świadomość, iż spoglądał na to nowe życie z zewnątrz, jako spostrzegacz, który jeszcze pogrążony jest w przesądach, obawach i niedowierzaniach okresu walki i zwątpienia? Jakkolwiek tamci przyjaciele byli dlań tak realni, tak żywi, jednak przez cały czas czuł, iż właściwie pośród nich nie ma co do robić, iż musi nastąpić chwila, gdy oni go się pozbędą i wypowiedzą to, co w smutnem spojrzeniu Heleny wyczytał.

Nie, ty nie możesz być jednym z naszych, ty należysz tak jeszcze zupełnie do nędzy przeszłości, iż nawet nasze szczęście ciebie znuży: wracaj więc! Widziałeś nas, i oczy twoje przekonały cię, iż pomimo wszystkich nieomylnych zasad dni twoich świat ma jeszcze przed sobą okres pokoju — okres, w którym będą tylko towarzysze, a nie panowie i niewolnicy. Wracaj więc, a tak długo, jak istnieć będziesz, bę-

dziesz spotykał ludzi, którzy tem są zajęci, by innym dawać nakazy życia, jakie dla nich życiem być nie może, gdy sami o swe własne, rzeczywiste życie nie dbają — ludzi, którzy nienawidzą życia, jakkolwiek obawiają się śmierci. Wracaj i czuj się szczęśliwszym, gdyż widziałeś już nas, i walce twej przyświecać będzie błysk nadziei. Wracaj, i z całą energią walczyć za równość ludzi, i przykładaj kamień po kamieniu do wielkiej budowy społeczności, szczęścia i pokoju.

Na tem powieść się kończy. Część wyłożona w poprzednim rozdziale jest artystycznie najwyższą, gdyż całkiem oddaje — w rozmowach z Heleną — poetyczną i miłosną naturę Morrisa, a także cięć delikatnej melancholii, która przesłania jego radość z bytu.

Wogóle „Wieści z Nikad“ przedstawiają obraz społeczeństwa w niektórych względach możliwego do urzeczywistnienia, a mianowicie o tyle, o ile autor trzymał się wzorów średniowiecznych. Wzgląd ten uczynił jednak ludzi jego zbyt prostymi, a raczej prostaczymi. W sprawach myśli i jej niepokojów bohaterowie ci wydają się całkiem spokojnymi, a raczej nie uznają ich istnienia. Należy wyznać, iż nasze życie współczesne przy wszystkich swych niedogodnościach zawiera daleko więcej tajemniczości i czaru, wywołanych może tą niepewnością, która tkwi u jego podstaw, a która w społeczeństwie Morrisa całkiem zanika. Autor mógł uratować tę stronę konieczną, czyniącą życie podobnem do poematu, czy też tragedyi, gdyby tylko wprowadził był w swój ustrój społeczny nową sprężynę walk idealnych, walk na polu nauki i filozofii: a on je właśnie całkiem prawie usuwa, czy-

niąc z nauki zawód i zachowując się względem niej dość lekceważąco — przynajmniej względem jej przedstawicieli. W ten sposób istotnymi bohaterami przyszłości okazują się, nie uczeni Robertowie, którzy są dość śmieszni, przy wszystkich swych niepokojach duchowych i pajęczynie myśli, zasnuwającej im mózgi, lecz zadowoleni przedstawiciele złotej miernoty, Ryszardowie. I dlatego życie przyszłe ma w przedstawieniu Morrisa charakter, nie poematu, lecz sielanki.

Wbrew temu, jeżeli kwestya ekonomiczna powinna i musi z czasem być rozstrzygniętą w kierunku wskazanym przez Morrisa, to głównie dlatego, by szlachetniejsze, wyższe strony człowieka znalazły wreszcie należyty swój rozwój; ten zaś nakazuje przewidywać rozpetanie walk idealnych, które nadadzą życiu charakter niesłychanie dramatyczny, o czym w sielance Morrisa niema ani słowa. Sielanka ta zapewne jest odpowiedzią dla Ryszardów, dla średniego typu człowieka; ale nie znajdziemy w niej miejsca dla wyższego typu myślicieli, bohaterów, odkrywców.

Rzecz charakterystyczna: gdy estetyczne potrzeby w związku społecznym Morrisa występują na plan pierwszy tak dalece, iż zasłaniają sobą i zastępują prawie potrzeby utilitarne, to potrzeby umysłowe w zupełności tu zanikają. Jest to brak fatalny, a objaśnia się ustrojem duchowym Morrisa: był on raczej artystą niż myślicielem.

Czyżby jednak, istotnie, w przyszłym społeczeństwie natury o myśli niespokojnej Faustów, Manfredów zniknąć miały? Nie jest to rzeczą niemożliwą. W takim razie jedynymi przedstawicielami niezadowolenia

byliby już tylko starcy gderający, w rodzaju ojca Heleny.

Czyżby to jednak było do życzenia? Wątpimy. Największą sprężyną postępu były zawsze niepokój i niezadowolenie myśli; one-to zawsze badały, przenikały tajniki natury i prowadziły Ludzkość naprzód. Oczywiście, że Ryszardowie roli tej grać nie będą, ani też śmieszni Robertowie. Czyż więc nie należy przypuścić, iż obok społeczeństwa wymarzonego przez Morrisa, społeczeństwa pracowników-artystów, wytworzy się inne jeszcze społeczeństwo — renanowskich sceptyków, filozofów i myślicieli, którzy na szczęście Ryszardów spoglądać będą z politowaniem, na co ci znowu odpowiadać im będą śmiechem? Na walce tych dwu typów, uspołecznionego i samotnego — walce utrzymanej, rozumie się, w należytych granicach — może polegać istotne, głębiej pojęte dobro społeczne: tak muzyka wydobywa harmonię z rozdzźwięków. Jeżeli społeczeństwo przekona się, iż w jego własnym interesie jest utrzymanie przy życiu tych głów niespokojnych, o popędach indywidualistycznych, które w żaden sposób dla obszerniejszej syntezy twórczej, umysłowej i poetycznej przez członków tłumu zastąpione być nie mogą, to nie widzę, czemu by ono nie miało się nawet zająć ich hodowlą, gdyby nawet gardzić miało niemi dla ich natury niespołecznej i zamięłowania rozdzźwięków? Wszak to społeczeństwo hoduje zwierzęta, rośliny, nawet gdy mu się nie podobają, jeżeli tylko są pożyteczne. Otóż nie sędzę, by społeczeństwo złożone z samych tylko typów średnich, z Ryszardów, mogło należycie odpowiadać wymaganiom syntezy twórczej, bez której społeczność normalnie funkcyjnować nie zdoła.

Inaczej mówiąc, kwestya społeczna komplikuje się jeszcze inną: antropologiczną, i na tę Morris żadnej uwagi nie zwrócił: a ona-to właśnie obecnie w nauce budzi wielkie niepokoje. Poza tem jednak należy przyznać, iż samo rozstrzygnięcie kwestyi społecznej, które Morris podaje dla typów średniej ludzkości, jest racjonalne, sympatyczne i piękne. Nie wdając się tu w szczegóły przyszłych urządzeń, których nikt przewidzieć nie zdoła i które pewno znacznie różnić się będą od ideału Morrisa, należy przyznać, iż zabezpieczenie ekonomiczne wszystkich bez wyjątku jest jednym z najślusniejszych wymagań naszych czasów. Otóż Morris wymaganiu temu potrafił nadać kształty w sposób isticie czarujący. Ta piękna sielanka ludzi zdrowych, pięknie odzianych, dbałych o estetykę we wszystkim, nawet w pracy, zachowujących w życiu społecznem jaknajwiększą sumę wolności: oto wspaniała i należyta antiteza tej zmory koszarowej i bezbarwnej, którą pisarze w rodzaju Bellamy'ego chcą pociągnąć tłumy. Jak rzekliśmy, Morris powieść swą napisał właśnie jako przeciwstawienie słynnemu utworowi amerykańskiego autora. Gdy ten we wszystkim opiera się na centralizacyi i na maszynizmie, tamten powraca stanowczo do autonomii i do pracy ręcznej. Nadaje to marzeniom Morrisa potrosze charakter drobnomieszczański i chłopski, od którego je przecież ratuje gorący hołd składany pięknu; tego zaś czynnika Bellamy bynajmniej nie wziął pod uwagę.

Rzeczywistość prawdopodobnie ani z jednym, ani z drugim ideałem liczyć się nie będzie i wyda formy, których wcale obecnie przewidzieć nie podobna. Gdybyśmy jednak mieli wybierać, wszystkie nasze

sympatye, bez wahania, skłoniłyby się w stronę wzorów morrisowskich. Charakter rzeczywistości, który poeta potrafił nadać swej wizyi, stąd też pochodzi, iż w naturze swej, obok czynników czysto arystokratycznych i artystycznych, posiadał on także czysto ludowe: a kto wie, czy tajemnica wielkiej twórczości nie polega właśnie na takim połączeniu różnych czynników rasowych. Grant Allen odróżnia w Morrisie marzyciela celta od energicznego anglosaxończyka. Całe życie Morrisa i cała jego działalność świadczą najlepiej, iż był on mieszancem, wytworzonym przez połączenie dwu ras: delikatnej, marzycielskiej—i energicznej, praktycznej. Otóż możnaby sądzić, iż jego przodkowie Anglicy należeli do ludu, gdy jego przodkowie Celci należeli do arystokracji. I tylko w ten sposób mógł on wydać utwór, który zadawała zarazem i najwybredniejszy smak i najzdrowsze instynkty.

Celt-to był w Morrisie twórcą, a Anglik -- praktycznym przemysłowcem, obrabiającym doskonale interesy. Tamten był samotnym marzycielem, odludkiem, „który się urodził nie swego czasu“, drugi—rubaszną jednostką w tłumie. Otóż twórczość wymaga może takiego właśnie połączenia rasowego, gdyż w ten sposób w samym geniuszu typ niższy odczuwa wciąż niewyraźne potrzeby, uczucia i marzenia massy ludowej, z której pochodzi, i w nim też znajduje się ten czynnik wyższy, który jest zdolny wszystkie te żywioły wciąż syntetyzować.

Geniusz zawiera w sobie w ten sposób wszystkie czynniki twórczości — i tłum i indywiduum. Jest on kompletnem laboratorium psychologicznem, w którym wszystkie materyały twórczości są na pogotowiu.

Być może, iż gdyby geniusz pozostawał czystym rasowo i miał dopiero z zewnątrz wyczuwać potrzeby, i marzenia tłumu, nie mógłby ich oddawać z należytą dokładnością we wszystkich odcieniach, a niektóre z nich wymknęłyby się z pod jego wrażliwości. Jest on prawdopodobnie udatnym mieszańcem, łączącym harmonijnie wszystkie czynniki narodowe. Tak w Balzacu obok szczytów arystokracji umysłowej znajdujemy trywialność najniższego plebsu, co z komiwojażera, jak słusznie Faguet powiada. W wyższym jeszcze stopniu toż samo powiedzieć można o Shakespeare'ze, a także o Goethym.

Doumic rzetelnie objaśnia powódzenie Fausta Gounoda tem, iż w mistrzu jest coś „du peuple“ obok wysokiej, artystycznej natury, dochodzącej do mistycyzmu. Dzięki temu muzyka jego jest dostępna dla wszystkich: zadawała i najbardziej wybrednych i zwykłych prostaków. Toż samo powiedzieć można o Mickiewiczu, bardziej, niż o Słowackim, a napewno bardziej niż o Krasińskim. W tem może kryje się tajemnica: czemu ten ostatni, najbardziej oryginalny z naszych poetów, nie jest poetą ogólnie narodowym. Posiadając najwyższe skupienie potęgi twórczej, nie miał on jednak w sobie czynników ludowych, nie z tej krwi plebejskiej, któraby pozwalała mu przemawiać do tłumu i prowadzić go za sobą. To też, ani on, ani Słowacki, nigdy nie byliby zdolni napisać „Pana Tadeusza“, który ogniskuje w sobie wszystkie cechy duchowe narodu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Mickiewicz był mieszańcem udatnym, zespalałym wszystkie typy antropologiczne polskie.

Otóż Morris zespala w sobie wszystkie główne typy rasowe Anglii, ale tylko nie w tych dozach i proporcjach, które wydają najwyższych geniuszów twórczych. Nie posiadał on daru abstrakcyi, który tworzy wielkich myślicieli w poetach, jak Goethe lub Shakespeare. Za to miał dar rytmu, rozwinięty we wszystkich kierunkach, co bardzo rzadko się zdarza: posiadał harmonię kwiatów, roślin, linii, barw dźwięków muzycznych, wierszy — i harmonię życia, szlachetnego i ułożonego jak przepyszne dzieło sztuki.

Jakie warunki krzyżowania rasowego złożyły się na wydanie postaci tak wdzięcznej, tak harmonijnej we wszystkich kierunkach rozwiniętej? Składamy pióro krytyka wobec pytania, które rozstrzygnąć-by mogły tylko skalpel i kompas antropologa.

Krytyka jest, niestety, zajęciem nader zasadniczym, gdyż rozbierając otoczenie społeczne, w którym poeta się rozwijał i jego ustrój duchowy, by wyjaśnić powstanie jego dzieł, dochodzi do zagadnień najgłębszych, zewierających właściwe wyjaśnienie tajemnicy, wobec których jednak, kompetencya jej z konieczności się kończy, gdyż socjologia i antropologia nie są jeszcze naukami ustalonymi.

Na zakończenie należy jeszcze wspomnieć, iż Morris pisał także powieści fantastyczno-historyczne, jak: „The House of the Wolfings“, „The Roots of Mountains“; ostatnią, wyszła już po jego śmierci była „The Sundering Flood.“ Zastanowimy się tylko nad nią; doskonale bowiem utwór ten charakteryzuje daną sferę działalności poety.

Otóż w pośmiertnej swej powieści Morris prowadzi nas do kraju wieszczek, geniuszów i karłów, którzy

biorą udział czynny w życiu ludzkim. Rzeka, tak bystra, iż nikt nie potrafiłby przepłynąć jej z jednego brzegu do drugiego, przecina ten kraj na dwie części, całkiem podobne do siebie nie tylko pod względem krajobrazu, rozkładu gór, dolin i drzew, ale także zabudowań, które po obydwu stronach są zupełnie do siebie podobne. Rzeka ta nazywa się „Sundering Flood“ („Fala rozdzielająca“).

Bohater powieści, Osberne, małym chłopięciem błądził pewnego dnia po jednym brzegu i spostrzegł na drugim dziewczynkę o niebieskich oczach i złotych włosach, które pokrywały ją całą jakby płaszczem. Nosiła skromną sukienkę z grubego sukna i nóżki miała bosc. Osberne natomiast włożył na siebie dnia tego najpiękniejszą swą, czerwoną, odzież.

Poprzez szum potoku dzieci prowadziły następującą rozmowę:

„Powiedz mi — pyta Osberne — kim jesteś? Czy jesteś małą wieszczką? Gdyż jesteś zbyt piękną, bym mógł uważać cię za pochodzącą z rasy karłów“. Dziewczynka roześmiała się i odparła: „Nie, nie, nie należę do rasy wieszczek, należę do ludzkiej.“ „Ja także do niej należę — rzekł Osberne. — Ojciec mój i matka umarli, a ja mieszkam tu niedaleko, u krewnych.“ „Czy są dobrzy dla ciebie?“ — zapytała dziewczynka. „To ja raczej powinienem być dobrym dla nich“ — odparł chłopczyk. „Ah! — rzekła wówczas — jakiś ty piękny! Widziałam wielu mężczyzn, starych i młodych, niektórych w twoim wieku, nie widziałam jednak żadnego, któryby był tak piękny jak ty. Dlatego sądziłam, że jesteś jednym z geniuszów ziemi.“ „A ja, widząc, iż jesteś tak drobną i tak piękną, wziąłem

cię za wieszczkę. Ale powiedz mi, ile masz lat?“ „W końcu maja będę miała trzynaście.“ „A więc jesteśmy jednego wieku, gdyż ja kończę trzynaście w kwietniu. Ale czemu nie mówisz mi, gdzie mieszkasz i u kogo?“ „Mieszkam na wzgórzu, niedaleko stąd. Straciłam, jak i ty, ojca i matkę, a teraz mieszkam u dwóch ciotek.“ „Czy są dobre dla ciebie?“ — powtórzył Osberne jej własne pytanie. „Czasami tak — odparła, śmiejąc się — czasami nie; ale to dlatego może, iż nie jestem dobra dla nich tak, jak ty dobrym jesteś dla swoich krewnych.“

„Opowiada dalej, iż często się ukrywa od prześladowań swych ciotek w sąsiedniej grocie, gdzie dnia pewnego znalazła flet. To rzekłszy, wyjęła z pod sukienki instrument i zaczęła grać, wydobywając zeń dźwięki tak pełne słodyczy, iż chłopczyk nie mógł powstrzymać nóg swych od ruchów tanecznych. Po chwili usłyszał beczenie; barany, przybiegłszy, okrążyły małą pastuszkę. Gdy ją otoczyły kołem, zaczęła tańczyć, a w ślad za nią tańczyły i baranki. Nigdy chłopiec nie widział zabawy piękniejszej. „A powiedz mi — zapytał się jej — co ty umiesz robić?“ Umiała szyć, tkać, piec chleb, mleć mąkę, robić masło; ale nie jej tak się nie podobało, jak — strzedz baranki.

On natomiast pochwalił się, iż umie zabijać wilki, strzelać z łuku, a także śpiewać pieśni, które sam układa. A gdy go poprosiła o zaśpiewanie jednej, zaimprovizował następującą:

„Teraz trawa rośnie wolno — i lilia kwitnie na łące; — i zieleń kwietniowa — rozrasta się bujnie; — i zdala za nami — pozostała zima; — a pan wiatrów — utracił swą moc. — I ty jesteś piękniejsza — niż kwiat

lipcowy; — wychodzisz z ciemnej groty — jak wiosna z zimy.

— A gdy odjedziesz — podczas szarej zimy — zawsze widzieć będę — poprzez ściany domów — i wrzask ludzki — twe złote włosy — i twe białe nogi — i ich lekki taniec; — i od progu do ogniska — jak pieśni ptaków południowych — fruwać będą koło mnie — słowa z ust twoich.

Dziewczynka była bardzo zadowolona tą piosnką. Nastąpił jednak czas rozstania się. „Czuje, iż odejść stąd nie zdołam, — rzekła dziewczynka — jeżeli mi nie rozkażesz.“ „Każę ci więc — odparł Osberne — ale za trzy dni powrócę tu. A teraz uściskałbym cię serdecznie, gdyby nie ten potok, który nas rozdziela.“ „Jest to piękne i dobre życzenie — rzekła dziewczynka. — Adieu, nie zapominaj o mnie w ciągu tych trzech dni.“ „Oh! nie zapomnę!“ — Osberne i Elfhilda (tak się bowiem nazywała dziewczynka) spotykali się wielokrotnie w ten sam sposób, bawiąc się, chychocząc i skacząc. Gdy jednak Osberne zabija w pojedynku barona, który skrzywdził jego krewnych, w Elfhildzie zachodzi zmiana głęboka. Naprawdę Osberne błaga ją, by tańczyła po dawnemu. „Nie — odpowiada — nie chcę już skakać i pokazywać mych biednych nóg, nazbyt długich i nazbyt chudych. I gdybym była kobietą, a nie dzieckiem, nie chciałabym nawet, byś widział chociażby stopę mej nogi. Ty się śmiejesz zawsze, gdy biegam z memi zwierzętami: otóż nie chcę, byś się śmiał i ze mnie.“ „Ależ, moja droga — odparł Osberne — mylisz się. Jeżeli się śmiałem, to nie dlatego, by drwić z ciebie, lecz z przyjemności, którą mi sprawiają twe wdzięczne ruchy, podobne do kołysania się liści na drzewie w świeżości letniego poranku.“ „Wszystko je-

dno — odrzekła Elfhilda — nie będę tańczyła, ale, jeżeli chcesz, siądę tu i opowiem ci historię z przeszłości, której nigdy jeszcze nie opowiadałam“. Jest tam mowa o morzu, o wielkich okrętach i o kobiecie z morza, która wchodzi do domów ludzkich.

Upłynęło lat kilka. Młodzi ludzie pięknieli wciąż i rośli, a serca ich wciąż związane były też niezłomną czułością. Wtem Osberne, żądny przygód, wstąpił do armii barona Cheapingu, któremu baron Deepdale'u wypowiedział był wojnę. Dowiedziawszy się o tem, Elfhilda jest mocno zasmucona, a Osberne pociesza ją w sposób następujący: „Jak moglibyśmy się połączyć, jeżeli ja pozostawać będę u moich krewnych, a ty, z drugiej strony rzeki, u twoich ciotek? Czyż nie powinienem poznać szerokiego świata i zbadać ziemie i morza, aż nareszcie będę mógł przebyć potok, który nas rozdziela, byśmy mogli się pobrać?“

Słowa te pocieszyły Elfhildę; uśmiechając się, rzekła: „Czy przypominasz sobie jaką radość ci sprawiało przynoszenie mi podarków i jak rzucałeś je poprzez rzekę? Otóż teraz przywieziesz mi w podarku siebie samego.“

Rozstali się, szlochając.

Osberne odznaczył się w bitwie, wziął do niewoli barona Deepdale'u i dlatego baron Cheapingu starał się zatrzymać go przy sobie, darząc przyjaźnią i honorami. Osbernowi wszakże śpieszno było powrócić do Elfhildy, a gdy powrócił, nie mógł jej poznać: tak ją zmienił smutek, wyczekiwanie i płacz. Radość ich spotkania przesłonięta była smutnymi przeczuciami. „Jeżeli mam serce przepełnione melancholią — rzekł Osberne — to dlatego, iż cię kocham, iż widzę cię tak piękną i, że obawiam się,

za ciebie i za siebie. Gdyż oto pożądam więcej, niż mogę mieć; rozłączenie nasze nie skończy się pewnie nigdy i lękam się nawet, czy to, co posiadam, nie będzie mi odjęte.“

Smutne to przeczucie wkrótce potem się sprawdziło. Szajka zbójców napadła na dom Elfhildy i porwała ją, by sprzedać w dalekich krajach. Długo Osberne płakał i rozpaczał, a wreszcie, pożegnawszy się z krewnymi, udał się na poszukiwanie jej śladu. Szukał jej przez całe pięć lat, wpadając z jednej przygody w drugą. Przyjął służbę u szlachetnego barona Godricha, który zamierzał ustalić sprawiedliwość pośród ludzi. Ale pomimo wszelkich starań nie mógł Osberne wpaść na ślad Elfhildy.

Pewnego dnia wreszcie staruszka jedna zaprosiła go do swej chaty. Zaledwie wszedł do drobnej, lecz schludnej izby, gdy cofnął się i przykrył twarz kapturem, spostrzegł tam bowiem młodą i piękną dziewczynę. Była wysoka i zgrabna, odziana w suknię niebieską; miała obfitą masę ciemnych włosów, oczy szare, a w twarzy czar niewymowny. Staruszka odezwała się do niej: „Oto, dziecko, sprowadzam ci gościa. Daj mu jeść i pić.“ Osberne stał nieruchomy, nie rozumiejąc prawie co się z nim dzieje, i spoglądał na ziemię, jak gdyby potok rozdzielający płynął znowu, rycząc pomiędzy nim a dziewczęciem — gdyż poznał odrazu, iż to była Elfhilda. Tymczasem ona głosem drżącym zapytała się staruszki: „Kto to jest?“, a gdy Osberne odkrył twarz, w oczach jej błysnęła radość i zawołała: „O, mój luby! Gdzie jest teraz fala, co rozdziela?“ Padli sobie w objęcia z zachwytem, jak gdyby długie poprzednie lata nie istniały.

Jaki jest sens tej historii, którą Morris pisał w ostatnich latach swego życia? Trudno dać na to odpowiedź stanowczą, ale oczywistą jest rzeczą, iż jakieś głębsze intencje psychologiczne w powieści tej się kryją. Być może, iż autor chciał uzmysłowić tę prawdę, iż w młodości każdy zamknięty jest w sobie i oddzielony otchłanią nawet od osób najbliższych, i że trzeba długich lat cierpień, by ta forteca egoizmu się rozpadła....

A może tylko wprost bawił się opowiadaniem tej wdzięcznej i prostej historii, którą illustrował rysunkami w smaku średniowiecznym. Autor chciał unaocznić jakby na mapie wszystkie miejscowości, w których główne sceny jego powieści się odbywają. A więc znajduje się tu i „Sundering Flood“ i jego okolice, oddane w najdrobniejszych szczegółach. „Tu Osberne odnalazł Elfhildę“ czytamy napis pod rysunkiem domku, w innym miejscu „zabił jelenia“, albo też „stoczył bitwę z czarnymi zbójcami.“ Ta fantastyczna legenda, illustrowana rysunkami ścisłemi, jak to możnaby czynić tylko względem osobistości rzeczywistych, historycznych, ma wielki czar naiwności.

Mapą tą, również jak i całem swem opowiadaniem, Morris widocznie się bawił, gdyż, wzorem wszystkich wielkich poetów, pozostał dzieckiem aż do śmierci. Wyobraźnia jego wymagała wciąż pokarmu fantastycznego, w którym dzieci się lubują, a ponieważ rozum jednocześnie przemawiał, więc stan ten duchowy musiał się wyrażać w pobłażliwej czułości. Dlatego autor w opowiadaniu swem bynajmniej nie baczy ani na obserwacyę, ani na prawdopodobieństwo. I w tem tkwi właśnie cały czar

i poezya tej książki. W ideałach swych społecznych Morris wyraźnie przyznawał się, iż życzyłby Ludzkości powrotu do dzieciństwa: w przedśmiertnem swem dziele odtworzył poezję i muzykę dzieciństwa, w całej ich prostocie i naiwności. I jak on tylko mógł zachować aż do późnej starości tyle świeżej fantazyi i dobrego humoru, tak tylko działalność społeczna, kierowana ideałami, mogła w nim tę świeżość duchową podtrzymywać. W życiu praktycznem pozostał poetą, i dlatego ono go nie wysuszyło, a poezya wywdzięczyła się mu, udzielając daru wiecznej młodości. I bynajmniej nie widzimy w tem ostatniem opowiadaniu — jak to czynią niektórzy krytycy — dowodu, że Morris całe życie się bawił i że nawet jego działalność społeczna była tylko zabawką. I owszem, zabawki takie, dyletantyzm, nigdy na dobre nie wychodzą; towarzyszą one zwykłe starości i służą tylko do przykrycia oschłości wewnętrznej.

Dlatego właśnie, że Morris poważnie spoglądał na życie i swą działalność, że oddawał się jej całą duszą, kwitnął w nim do końca ten niebiański kwiatek poezyi i marzenia. W ideałach Morris bynajmniej nie widział pozoru do marzeń i gry poetyckiej, lecz oddawał się im szczerze, i tylko dlatego mógł się bawić i zachować duszę dziecka, które skacze, śmieje się, zbiera kwiaty i śpiewa. Ideały Morrisa znalazły zresztą swój wyraz nawet w tej powieści. Baron Godwich, u którego Osberne służy, jest nie tylko błędnym rycerzem, ale zarazem demokratą; nienawidzi bogaczy i dąży do podniesienia w miastach uboższych cechów, by je uwolnić z pod jarzma burżuazyi. Osberne zaś nie chce za usługi swe przyjąć

żadnych nagród, ani honorów, ani tytułów; natomiast przed przyjęciem służby zapytuje się Godricha: w jaki sposób zdobył bogactwa? — i jest potem nadzwyczaj ucieszony, dowiedziawszy się, iż baron nie posiada. W ideałach swych Morris dążył do rzeczy szczytnych a niemożliwych. Ale może na tem właśnie polega cel i piękno ideałów...



88389

88 389

NIEKTÓRE WYDAWNICTWA
BRONISŁAWA NATANSONA

	Rb.	kop.
<i>Conn H. W. Świat drobnoustrojów</i> , Baktery; przełożył z ang. dr. F. Sachs. z 34 rys. w tekście 233 str. 16 ^o	—	50
<i>Daniłowski Gustaw. Nego.</i> Nowele. 218 str., 12 ^o .	1	—
<i>Holtendorff Fr. dr. Znaczenie opinii publicznej w życiu państwowem</i> ; przekład z niem. 96 str., 12 ^o	—	50
<i>Höfding Harald. Jan Jakób Rousseau.</i> Życie i dzieła; przekł. z niem., 110 str., 8 ^o min. (z podobizną).	—	50
<i>Kochanowski Jan K. Kazimierz Wielki.</i> Zarys żywota i panowania. 142 str., 8 ^o min.	—	75
<i>Kozłowski Wł. Co i jak czytać.</i> 296 str., 8 ^o min.	1	50
<i>Lang Andrzej. Mitologia</i> (Wierzenia pierwotne); z «Encyklopedyi brytańskiej» przełożył A. L. 192 str., 12 ^o	—	60
<i>Matuszewski Ignacy. Dyabeł w poezyi.</i> Studium literacko-porównawcze, wyd. drugie. 280 str., 8 ^o min.	1	20
<i>Oppenheim L. D-r. Sumienie</i> ; przekład z niem. 43 str., 8 ^o min.	—	30
<i>Porembowicz E. Św. Franciszek z Assyżu.</i> 128 str., 8 ^o min. («Życiorysy znakomitych ludzi»).	—	60
<i>Wells G. H. Podróż w czasie</i> ; przełożył z ang. F. Wermiński. 159 str., 12 ^o	—	50
<i>Ziehen T. Dr. Zasady psychologii fizyologicznej</i> , z przedmową Adama Mahrburga; przekład z niem., z 23-ma rys. w tekście. XXIV i 268 str., 8 ^o maj	1	80
<i>Żeromski Stefan. Ludzie Bezdumni</i> , powieść. 2 tomy; T. I. 257 str., T. II. 230 str. 8 ^o	2	40